

PIION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 21 (190)

WARSZAWA

27 MAJA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

BOLESŁAW MICIŃSKI — GEOGRAFIA OSOBOWOŚCI
ROMAN KOŁONIECKI — PRZEKŁAD „STREFY” G. APOLLINAIRE’A
ZOFIA STAROWIEYSKA — MORSTINOWA — „ROZDROŻE”
FELIKS ARASZKIEWICZ — AMBICJE KULTURALNE LUBLINA

KAZIMIERZ WYKA

PŁOMIEŃ I MARMUR

Poezja, która pragnie wyrazić lub powo-
luje się na pewną pokoleniową wspólnotę
uczuciową, jest zazwyczaj apelem do prze-
żyć, jakie być winny wzajemną własnością
ludzi podobnego wieku. Działa wówczas coś,
co by można nazwać mistyką wspólnego cza-
su. Człowiek w reakcjach swoich i odczu-
ciu świata jest samotny. Kiedy milczy, nie
ma sprawdzianu swoich przeżyć, kamienia
probierczego ich słusności. Sprawdzianu
zaś tego szuka, zwłaszcza gdy reakcja jego
jest oporem i niezgodą. Przekroczenie sa-
motności dokonuje się przez świadomość
wspólnego czasu, przez narzucenie tym, co
go równocześnie choć niezależnie przeżywa-
li, swych własnych i odrębnych wniosków.
Podkop pod cudzą ziemię, z szukaniem wła-
snych z niej pokładów, jako że niby jedno
i to samo słońce jej powierzchnię oświetla.
Liczba mnoga nabiera wówczas nowego sen-
su, staje się poszerzeniem hipotezy uczucio-
wej na rówieśników, próbą jej trafności, za-
stosowaniem na materiale uznanych za
wspólne przesłanek uczuciowych. Najcha-
rakterystyczniejszy dla tego stanowiska Mi-
łosza wiersz *O księżce* brzmi jak ankieta o
gotowych już wnioskach, pytająca tylko o
zgodę lub odrzucenie:

W czasach dziwnych i wrogich żyliśmy,
nad głowami naszymi pociski śpiewały,
i lata niemniej groźne od rwących szrapneli
nauczały wielkości tych, co nie widzieli
wojny. W pożarze sucho płonących tygodni
pracowaliśmy ciężko i byliśmy głodni
chleba, cudów niezmiernych zjawionych na ziemi
i często, spać nie mogąc, nagle zasmuceni
patrzyliśmy przez okna, czy nad nocne sine
nie przypływają znowu statki zepielinów,
czy nie wybuchła sygnal nowy kontynentem
i sprawdzaliśmy w lustrze, czy na czole piętno
nie wyrosło, na znak, żeśmy już skazani.

My niespokojni, ślepi i epoce wierni,
gdzieś daleko idziemy, nad nami październik
szumi liściami, jak tantym łopotał sztandarem.
Wawrzyn jest niedostępny nam, świadomym kary
jaką czas tym wyznacza, którzy pokochali
doczesność, ogłuszoną hałasem metali.
Więc sławę nam znacząco stworzyć — beżimienna,
jak okrzyk pożegnalny odchodzących —
w ciemność.

Podobna poezja naladowana jest prądem
postulowanej przez poetę wspólności poko-
leniowej. Podobieństwo napięcia wywołuje
współgranie duchowe, sprawiające, że czytel-
nik, który czuje się włączony w tę wspólno-
tę, wpisuje na marginesy przemilczane prze-

stanki lub niedopowiedziane wnioski. I ra-
czej te pierwsze. Liryka jest wynikiem zajęć,
jakich nie ujawnia się w wierszu. Jeden tyl-
ko, cytowany, wiersz Miłosza podaje wyraź-
nie przesłanki i wnioski. Przesłanki najczę-
ściej trzeba dotwarzać, wnioski zawsze są
wyraźne:

Wszystko minione, wszystko zapomniane,
tylko na ziemi dym, umarłe chmury,
i nad rzekami z popiołu tlejące
skrzydła i cofa się zatrute słońce,
a potępienia brząsk wychodzi z mórz.

Wszystko minione, wszystko zapomniane,
więc pora, żebyś ty powstał i biegł,
choć ty nie wiesz, gdzie jest cel i brzeg,
ty widzisz tylko, że ogień świat pali. (*Roki*).

W tym typie poezji mięci się niebezpie-
czeństwo, jakiego Miłosz w *Trzech zimach*
uniknął dużo szczęśliwiej, aniżeli w *Poemacie o czasie zastygłym*. Krytyka rozumiejąca
i wybacząca zbyt wiele nieraz wypisuje do-
stępnych danemu pokoleniu przesłanek i
wspólnych punktów wyjścia, zapominając, że
wyniki poetyckie przyjmowane na tej pod-
stawie mogą rychło stracić ważność. Sytu-
acja duchowa pewnej generacji bywa czymś
tak zwiernym i zmiennym, iż często jej u-
czestnikom trudno po czasie odczytać zama-
zane runy. Nie zachodzi to u Miłosza. Wspól-
ne przesłanki zostały w tej poezji zepchnię-
te w podglebie, głęboko, nie wysterczając
akcentem doraźnej skargi, zniecierpliwione-
go krzyku, przywiązanego do faktu przemi-
jającej krzywdy, nie brzmią buntem, żeby
tak rzec, okolicznościowym, narodzonym z
dotkliwosci zdarzeń i zwątpień ideowych,
wśród jakich kształtowała się ta młodość.
Bunt został poszerzony w konsekwentną wiz-
ję, w całkowitość pesymizmu:

Wszystko, co z twojej głębi może być poczęte,
nim granicę narodzin przejdzie, martwe jest.
Wszystko, czego dotykasz w noce fundamentach
sypie się, jak igliwia jesiennego deszcz. (*Ptaki*).

Konsekwencja pesymizmu Miłosza, jego
eschatologiczny wyraz są środkami, które
poprzez zupełność zwątpienia zacierając śla-
dy doraźnego pochodzenia tego pesymizmu,
nadają mu godność powszechnej wizji rzeczy-
wistości, ważnej niezależnie od jej źródeł.
W tym doraźnym pochodzeniu a równocze-
śnie całkowitości pesymizmu Miłosza jest
może źródło licznych antytez, na których
rozpięta jest jego liryka. Najpierw dążenie

do klasycyzmu, do doskonałości i jednozna-
czności parnasistyczno-rzeźbiarskiej, skoja-
rzone z żarliwą zawartością uczuciową, nie-
raz trudną do pogodzenia z tym dążeniem.
Płomień gorzkiej młodości luezy w marmu-
rze bezwzględnej dojrzałości artysty Miłosza.
Płomień na ścianach zastygł, lopoty ognia
skreśliły się w języki i narysy, huk zwięzł
się w skrót, jak dźwięk w nutę się zwięzł.
W tym klasycyzmie zamknięty jest również
ekspresjonizm. Jedne strofy są jak gdyby
przepisane z nieznanego poematu Łobodow-
skiego: ciąg różnorodnych obrazów spojo-
nych jednością tonacji uczuciowej:

Kręcą się kołowroty, ryby trzepocą się w sieciach,
pachną pieczone chleby, toczą się jabłka
po stołach,
wieczory schodzą po schodach, a schody
z żywego ciała,
wszystko jest z ziemi poczęte, ona jest doskonała.
Chyłą się ciężkie okryty, jadą miedziani bratowie,
kółyszą karkami zwierzęta, motyle spadają
do mórz,
kosze wdrują o zmierzchu i zorza mieszkają
w jabłoni,
wszystko jest z ziemi poczęte, wszystko powróci
do niej. (*Pieśń*).

Kiedyindziej jakby rymowane wariacje
na kanwie ostatnich białych wierszy Nor-
wida:

Posągi zbierały
liść kasztanów na głowy i z kamiennym zwojem
praw dawno przeminionych, albo śladem miecza
szły, oblepione nowych jesieni wawrzynem
nad wodę, gdzie okręcił papierowy płynął.

(*Bramy arsenału*).

W zestawieniach nie chodzi o zależność
— choć wpływ Norwida na sferę klasycy-
zmu Miłosza i intelektualistycznego odrealnie-
nia rzeczywistości („widział Notre Dame
kamienną patrzącą jezioru, Odbitą w czy-
stej głębi nad ryby igraniem”) wydaje się
niewątpliwy — ale o wskazanie rozmaitych
klimatów artdobitymi przez dotychczasowe
typy liryki, nagle pomiędzy obszarami, jakie
zdawały się graniczyć z sobą, odkrywa nie-
znane ziemie. U Miłosza strofy i sposoby
poetyckie rodzące się z ekspresjonizmu są
bardziej zwarte i rzeźbiarskie, aniżeli to
było konieczne dla ekspresyjnej rozlewności,
sposoby klasycyzujące i parnasistyczne skry-

wają drzenie w sobie, które nadaje im prze-
dziwny czar.

Klasycyzm tej liryki, nadając posagowy
wyraz rozpacy i eschatologii, poprzez opa-
nowaną bezbłędność artysty sugeruje rów-
ną bezbłędność stanowiska uczuciowego.
Dzięki temu klasycyzmowi pesymizm nabie-



CZESŁAW MIŁOSZ
W KARYKATURZE J. MAŚLIŃSKIEGO

ra pewnej umowności, pozwala zaniechać
pytań o swe uprawnienia rzeczywiste. Sam
klasycyzm nie jest umownością pewnych o-
brazów i prawideł poetyckich, ale ostatecz-
nym wynikiem ohamowania uczucia, ohamo-
wania, które niczego jednak uronić nie po-
zwala z pierwotnego porwy. Stąd patos ja-
ko równoważnik tego dążenia. Patos ten nie
wyżywa się w mnogości chwytów patetycz-
nych, lecz ku groźbie i wzniosłości zmierza
przez nieomyślną, jedyną trafność. Dlatego
ta liryka kojarzy się intuicyjnie z rzeźbą:
nie nagromadzeniem gestów wywołuje się w
tej sztuce patetyczność, lecz gestem oszczęd-
nym, a równocześnie do ostatniej granicy
nasyconym potrzebą wyrazu.

Dalsza mnogość i rozpiętość antytez po-
woduje, że opanowanie nie przechodzi nigdy
w pozę i oziębłość. Jest tutaj młodość, która
nie pozwala dojrzałości nadmiernej zadła-
wić porwy uczuciowego, i dojrzałość, która
ścisza i sublimuje skargi. Jest duma nie-
chętna łatwemu wylewowi i młodość, która
nie dopuszcza stoicyzmu, będącego najczę-
ściej pośpieszną rezygnacją. Skargi eschato-
logiczne rodzą się jakby niechciane, brzmia-
stwierdzeniem i opisem spraw nieuniłnio-

nych, wypowiedź nie łagodzi, słowo jest jak słup graniczny wbijany na nieodwołalne. Jest skłonność do idylli, do baśniowego uśmiechu a zarazem świadomość grozy nad idyllą. Uczeń marzenia, co wraz „pokrzywy morduje“ i wieści „południe pogardy“. Czar dzieciństwa i prostoty niepotrzebny i pociągający jak sielanka w przeddzień burzy. Młodość schwycona w pęta twierdzeń nieodbitych: sławy nie zaznasz, szczęścia nie przeżyjesz, siebie nie przechowasz. Zamierający romantyzm pragnień i wielkości, od którego oderwać się nie sposób, choć wiadomo, że wszystko mu zaprzecza. Głębokie umiłowanie świata bez względu na to co on niesie, współistniejące z świadomością okrutnej znikomości rzeczy ziemskich. Słowa, że „wszystko jest z ziemi poczęte, wszystko powróci

do niej“, wyrażają zarówno najbardziej ekstatyczną pochwałę ziemskości, jak stwierdzenie nieodparte, że to właśnie oznacza nieuchronną znikomość. Tu przejście do religijności. Marzenie o wierze, która niezem eschatologia poety, zmieniając rzeczy doczesne w „płyn ciepki pełen skrytych jądów“, z popiołów doczesności mogłaby wydobyc rzeczy wieczne. Lecz do tej zgody nie dochodzi. Wierny sobie zapamiętuje poeta z religijności tylko grozę, tylko „światło potępienia“. Spłoty i przeciwieństwa tym bardziej zdumiewające, że nigdy skaza nie poznać artyzmu.

Ta antyetyczność liryki Miłosza sprawa, że jego klasycyzm to zarówno granica opanowania uczuć, jak i duma patetyczna rodząca się z przewyższeń całkowitych, du-

ma świadoma na jakich sprzecznościach przychodzi jej budować. I tu jest źródło niewątpliwego podobieństwa — przy całkowitej różności typu artyzmu — tej liryki do patetycznych wierszy Łobodowskiego. Jest to ten sam patos narodzony z wielkich sprzeczności, u Miłosza przetworzony na klasyczną zwięzłość nie poddającą się pierwotnemu surowcowi uczuć. Wiersze Łobodowskiego są jak strumień kipiącej lawy. Lawa jest świadectwem wrzenia i wybuchu, lecz jej pokłady muszą skruszeć i przemienić się, by wydać plon. Marmurowe wiersze Miłosza dalekie są od bezpośredniego wstrząsu, z jakiego wybuchają poematy Łobodowskiego, lecz przez to są materiałem, który nie świadczy samym istnieniem swoim, ale tym, co w nim wyryte zostało. Dzięki tej zrównoważo-

nej pozornie doskonałości liryka Miłosza staje się przeżyciem bardziej szarpającym. Ładunek buntu i niepokoju trwa tutaj utajony, a jednak posiada większą dynamikę; poeta zatoczył nad nim luk opanowania, pewnej swobody wobec przeżyć decydujących — i to działa więcej. Działa niespodzianką i odkryciem wspólności generacyjnej tych dwóch tak różnych poetów. Gdzie tutaj, w spleciańiu trudnych do intelektualnego ujęcia związków, które łączą Miłosza i Łobodowskiego, narasta przyszłość tej liryki obecnej, która nie da się wytłumaczyć ani duchem Skamandra, ani duchem awangardy w jej wszelkich odmianach. Czym będzie ta liryka? Pytajnik otwarty ku przyszłości, a próbę określenia jej cech na szerszym materiale może przy innej sposobności się podejmie.

KAZIMIERZ WYKA

BOLESŁAW MICIŃSKI

GEOGRAFIA OSOBLIWOŚCI

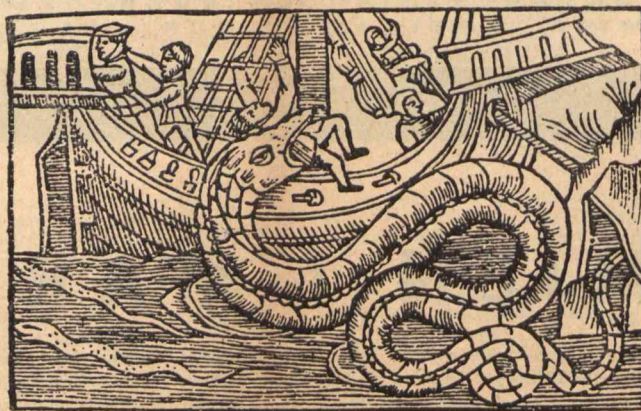
Klasyczna *definitio fit per genus proximum et differentium specificum* określa człowieka, jako stworzenie rozumne. „Człowiek“ jest gatunkiem rodzaju „stworzenie“, a rozum tak zw. różnicą gatunkową. *Sapiens* jest więc zaszczytnym *epiteton ornans*, który pozwala mówić o wyższości człowieka nad pokrewnymi mu tworami (*hominidae*), które, odłączony się od pierwotnych owadożernych, prowadzą już od eocenu żywot samodzielną. Przymiotnik ten wskazuje na zasadniczą dwoistość istoty złożonej z „myślącej“ i „rozciągłej“ substancji. W tym właśnie punkcie zalała się problematyka filozoficzna wieku XVII (dualizm, okazjonalizm, paralelizm, harmonia przedstawnia) a i dziś to samo zagadnienie nawiątyła się z różnych stanowisk, które usiłują odnaleźć podstawę wzajemnego stosunku dwóch odrębnych rzeczywistości: duszy i ciała.

Słowniki filozoficzne wskazują jednak na inny jeszcze *epiteton ornans*, na inną znamieną dwoistość: *homo duplex* to twór poddany równocześnie sprzecznym i przeciwstawnym sobie tendencjom, skłonnościom dobrym i skłonnościom złym — „*video meliora proboque, deteriora sequor*“. Ta eszeczogólna dwoistość duszy, świadomości i podświadomości, nie mieści się już w ramach psychologicznego prawa sprzeczności i dlatego dzisiejszy stan wiedzy o człowieku przypomina stan nauk geograficznych w wiekach średnich, gdy zważano obręb świata, gdy wtyczano lądy o fantastycznych zarysach, o konturach podobnych do syren i hipogryfów.

Stosunek marzeń i snów do sprawnie działającej świadomości przypomina stosunek lądów do mórz na ziemskim globie — fantazje i sny obramowały nasze życie jak tajemniczy i szumiący ocean. Budząc się rano, odnajdujemy na krawędzi świadomości fragmenty sennych marzeń, podobne do gałęzi nieznanych drzew, które Atlantyk wyrzucał na piasek pobrzeżnych wysp Europy, niosąc niespokojnym żeglarzom tajemnicze wieści o dalekich lądach. Na płytkiej, spienionej fali trzepoczą się obrazy jak eszeczki okrętów, jak pióra nieznanych ptaków.

Opowieści geografów i podróżników średniowiecznych mówiły o wyspach szafirowych, górach kryształowych, piaskach szafranowych i grotach złobionych w magnesie — w ich cieniu mieszkały przedziwne stwory, jednookie cyklopy, wilkołaki, ludzie o stopach podobnych do parasola i osadzonych na piersi obliczach. Rzucone w otchłań snów sieci wydobywają na powierzchnię nieznaną dotąd „faunę“ i „florę“ naszej osobowości. Dziwne twory spłoszone z lądów mórz i stronice starych geografii, płyną teraz w postaci zbitek sennych wraz z drzewem rodzającym jajka i gigantycznym wielorybem Jasionusem, na grzbiecie którego w wieku VI święty Brandan odprawił mszę w otoczeniu swych towarzyszy.

Jako zjawisko fizjologiczne, sen jest zagadnieniem spornym i dlatego „mapa“ mózgu, z osadzonymi w rdzeniu przedłużonym ośrodkami lęku i snu, przypomina szkice Cosmasa (VII w.), który na mapie świata wyznaczył miejsce arce Noego. Ale żeglując starą, spróchniałą kryptą po zmaczonych i gniewnych nurtach sennego marzenia, zbliżamy się do obcych, przeczuwanych zaledwie lądów. Szeroka łódź sunie po morzu cudów i przerażeń, szumią kręte wiry za sternem, bulgoce świetlisty nurt, a mokre włosy syren, jak morska trawa oblepily zalany smolą kadłub. Syreny śpiewają:



WĄŻ MORSKI WEDŁUG STAREGO DRZEWORYTU

„Sam tu! Ach bywaj — ty sławny Odysse. Wstrzymaj swą łódź i posłuchaj choć krztynę pieśni tej naszej...“

Nie słyszysz uszy, zalane woskiem, sosonowo wiośła siekają toń aż się spienia białymi bankami, po lewej ręce Skilla, po prawej ręce Charibdis, daleko, za czarną strugą, zielone plamy wysp. Oto nowe tereny przygód, nowe ziemie i rozlewiska wód!

Właściwym motywem odkrywczych peregrynacji Henryka Żeglarza, Marca Pola i Kolumba była legenda. Płynęły z krainy Ofir okręty Hiram, wraçały wioząc Salomonowi złoto, srebro, kość słoniową, koczokodany i pawie — mapy średniowiecza znały granice mitycznego państwa księdza-króla Jana, książę „Giuvia“, najznakomitszy spośród palatynów, uśmiechał się do brotliwie na tronie, wykreślonym przez kartografów na piaskach południowej Sahary. Dale-

ko, za siódmą górą, za siódmą rzeką — El Dorado: na jego podbój ruszył w roku 1580 Antonio de Berrio i Walter Releigh, ścigany przez kata 29 października 1618 r.

Legendzie zawdzięczamy odkrycie Ameryki.

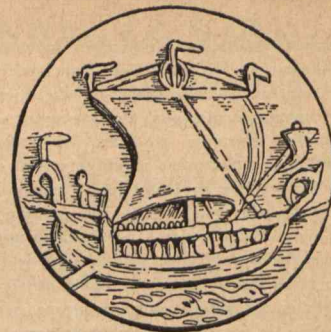
U podstaw legend nie brak faktów rzeczywistych. Zdarzenia realne, zdeformowane przez pamięć i czas jak kamienie porośnięte trawą, jak miecze przeżarte rdzą, mówią o minionej, trawionej fikcją rzeczywistości. Ale genetyka legend ma procesy odwrotne: realizacja fikcji. Badania, dotyczące kultu Asklepiosa w Epidaurze, rozlicznych form rytuału inkubacji, wizji świętych, halucynacji chrześcijańskich i buddyjskich dewotów, obnażają ukryty mechanizm realizacji sennych marzeń. Fantazje i sny posiadają bowiem wartość imperatywną. Zrodzone ze snu legendy wyprzedzają i kształtują rzeczywistość. Kiedy po krwawych szturmach Alek-

sander Macedoński miał zaniechać oblężenia Tyru, ujrzał we śnie tańczącego w trumnie satyra. Tłumacze snów przepowiedzieli zwycięstwo. Szturm ponowiono. Tyr padł.

Psychologicznym motywem wszelkiej inwencji jest pragnienie. Kolumb, tragiczny fanatyk, zrealizował tylko imperatyw zawarty w legendzie.

Dopóki mapy naszych lądów usiane były białymi plamami, człowiek niechętnie zapuszczał sondę w otchłań własnej osobowości: na ziemi jeszcze szukał krainy Ofir, gór kryształowych, piasków szafranowych i ludzi o stopach podobnych do parasola. Dziś, gdy zgasły ostatnie białe plamy, gdy przy pomocy aparatów akustycznych umiemy ściśle określić głębie oceanu i modelować w gipsie jego dno, coraz częściej stajemy nad spienionym nurtem strumienia psychicznego — nie znamy jego źródeł, szeroka, krętą strugą płynie jak Nil, któremu Cosmas Indicopleustes na swojej mapie wykreślił bieg przez morskie dno, przez nieznanne lądy.

Osobowość jest dziś jedynym terenem odkrywczych peregrynacji.



OKRĘT RZYMSKI

Opowieści, dotyczące podróży do świata poza-grobowego, należą do kategorii legend eksplikatywnych i pełnią rolę przewodnika po piekle. Wyprawa do piekła jest koniecznym etapem każdej wędrówki. Ani Odysseusz, ani Eneas, ani 8-ty Patryk nie omięgli państwa cieni. Nawet Pan Piekwick, niestrudzony podróżnik po uzyskaniu *habes corpus* i załatwieniu przeróżnych formalności, śmiało, jak Dante, przekroczył próg piekła w więzieniu za długi przy Flee-Street.

Zegnamy starych, dobrych wędrówców i żeglarzy. Zegnamy Odyssea, Eneasza, Kolumba, Robinsona, Paganella, Granta i Vossa. Ruszamy na nowe wyprawy odkrywca dalekie lądy, wtyczając ich granice i rysować profile wysp wylaniających się z otchłami osobowości: w ich cieniu mieszkają dziwne istoty o wilczych łbach i stopach podobnych do parasola. Jak Odysseusz w krainie Lestrygonów będziemy walczyć z czarnym ludem, któremu królują *homo duplex*, ambiwalentny twór, „*qui videt meliora et deteriora sequit*“.

BOLESŁAW MICIŃSKI



ISTOTY BAJECZNE ZE ŚREDNIOWIECZNEGO RĘKOPISU

Dozbroić Polskę na morzu!

GUILLAUME APOLLINAIRE

S T R E F A

Znużył cię w końcu ten świat dawnych rzeczy

Pasterko o wieżę Eiffla stado mostów dziś rankiem beczy

Dosyć masz tego życia w przeszłości rzymskiej i greckiej

Tu nawet auta mają wygląd staroświecki
Ona jedna tylko religia jednakowo wciąż nowa została
Prosta jak w Porcie Lotniczym linia hangarów biała

Ty jedyny o Chrystianizmie nie jesteś w Europie zabytkiem który się przeżył
Nie ma bardziej nowoczesnego Europejczyka niż ty Piusie X Papieżu
Lub ty okna patrz na ciebie jakąż na wstyd jest rada
Mógłbyś rano wejść do kościoła żeby się wypowiedzieć
A ty czytasz katalogi prospekty afisze śpiewające pieśń wysokopienną
Oto poezja ranka zamiast prozy masz gazetę codzienną
Za 25 centimów numer policyjnych pełen protokołów
Portrety wielkich ludzi i tysiąc różnych tytułów

Dziś widziałem piękną ulicę nazwę jej zapomniałem od rana
Była jak trąba słoneczna świeżo polerowana
Dyrektorzy prosi robotnicy przystojne stenotypistki z okolicznych biur i urzędów
Od poniedziałku z rana do soboty wieczorem cztery razy na dzień chodzą tędy
Rankiem brzmi tu trzykrotnie syreny szloch przewlekły
A około południa dzwon jakiś ujada wściekły
Wszędzie mnóstwo napisów na wywieszkach na golej ścianie
Szydły plakaty jaskrawe jak papugi wrzeszczą nieustannie
Pełna wdzięku przemysłowa ulica wiele miłych zawodzięcam jej chwil
Ciągnie się poprzez Paryż od avenue des Ternes do rue Aumont-Thiéville
Młoda uliczka ty także jesteś jeszcze maleńkim dzieckiem
Matka wkłada ci stale ubranka białe niebieskie
Jesteś bardzo pobożny tak samo jak René Dalize twój najdawniejszy towarzysz
Nic tak się wam nie podoba jak nabożeństwa solenne u stóp kościelnych ołtarzy
Jest dziewiąta gaz przykrycony wokół niebiesko wychodzące pokrywom z szypalną
I modlicie się całą noc w kaplicy kolegielnej
W uwielbianej kolującej wiecznie otchłani z ametystów
Gdzie w nimbie płomienną chwałę królują na zawsze Chrystus
To piękna lilia oddana w opiekę naszą
To pochodnia o rudych włosach której żadne wiatry nie zgaszą
To rumiany i blade syn matki śmiertelnie zbolalej
To drzewo modlitwami wszystkich wciąż napęczniałe
To szubienica podwójna wieczności i dostojności
To gwiazda o sześciu ramionach
To Bóg co zamartwychwstał w niedzielę a w piątek kona
To Chrystus lecący wzywać sprawniej od wszystkich pilotów
Posiadacz rekordu świata w konkurencji wysokości lotu
Chrystus żrenica oka
Wiek dwudziesty też oczko w głowie nie zleknie się niczego
Oto zmieniony w ptaka jak sam Jezus wstępuje w niebo
Diabły w otchłaniach zadzierając do góry lby dziwią się co za odwaga
Mówią że on naśladowa Judejczyka Szymona Maga
Wolają że skoro buja nad chmurami więc zbijem się zowie
Tańczy piękny linoskok a w kółko tańczą wraz z nim aniołowie
Ikar Henoch i Elias i Apoloniusz z Tiany
Unoszą się dokoła pierwszego aeroplanu
Czasem się rozstępują żeby przepuścić tych których wiezie w niebo Eucharystia
Unoszących się z hostią kapłanów jakby msza się odprawiała wieczysta
Wreszcie statek powietrzny ładuje sztywnych skrzydeł jednak nie składa
A wówczas przyćmiewa chmury milionowa jaskółek gromada
Nadciągają skrzydlatym kluczem kruki sokoły sowy
Afrykańskie ibisy flamingi marabutów stada lysogłowych
Ptak Rok ustami gędzibiarzy i poetów tylu sławiony
Sunie równo powietrzem ująwszy czaszke Adama pierwszą głowę ludzką w mocne szpony

Orzeł wpływa zza widnokręgu poploch krakaniem swym siejąc wśród ptasiej rzeszy
Z dalekiej Ameryki drobny koliber spieszy
Z Chin gryfy smukle przybyły sterując długim ogonem
Mają tylko po jednym skrzydle więc parami fruwać są zmuszone
Za nimi nadlatuje gołębica duch niepokalany
Ptak-lira jej towarzyszy i paw pocętkowany
Feniks ten stos co się rodzi z własnych szczątków śmiertelnych posłania
Na chwilę wszystko tumanem rozżarzonych popiołów zasłania
Syreny opuściwszy niebezpieczne przesmyki cieśnin
Zjawily się wszystkie trzy nucąc czarowne pieśni
I wszyscy orzeł feniks i gryf co porzucił Chiny
Łopocą bratnio skrzydłami wkrąg latającej maszyny

Teraz w tłumie przechodniów samotny przez Paryż kroczy
Tuż obok z rykiem okropnym autobusów stado się toczy
Krań masz ściśniętą kurczowo miłosną trwogą
Jakbyś miał nigdy nie zaznać kochania już od nikogo
Gdybyś żył w dawnych czasach zostałbyś mnichem napewno
Wstyd ci gdy się przylapujesz na szepcie modlitewnym
Szydzisz z siebie samego a śmiech ten jak ogień piekielny trzaska
Iskry śmiechu twojego wnętrza życia wylaczają blaskiem
To obraz wiszący w muzeum gdzieś w kącie w mroku głębokim
Nieraz podchodzisz blisko żeby go objąć wzrokiem

Dzisiaj chodzisz po Paryżu tropiąc okrwawionych kobiet korowody
To był och zapomnieć zapomnieć to był już kres urody
Panna Święta z płomiennego pierścienia spojrzala na mnie w Chartres
Krew twojego Najświętszego Serca zalala mnie na Montmartre
Jestem chory gdy słucham słów w których drga błogość i rzewność

Cierpię z miłości a przecież miłość jest chorobą haniebną
Obraz co ci osacza byś żył choć bezsenność i niepokój zabija
Zawsze w pobliżu ciebie ciągle cię z bliska mija

Teraz jesteś nad morzem Śródziemnym kuszącym tonią błękitną
Pod drzewami cytrynowymi co przez cały rok okrągły kwitną
Wyruszyłeś łódką na przejażdżkę w zażyłych przyjaciół gronie
Jest wśród nich jeden nicejak a poza tym dwóch chłopców z Turbie i jeszcze jeden mentoniec

Wpatrujemy się w osmiornice zdjęci grozą tuż nad głębiną
Na obraz Boga stworzone ryby przez lasy alg płyną

Teraz przebywasz pod Pragą w ogródku pewnej oberży
Jesteś bardzo szczęśliwy róża na stole leży
Choć miałeś zamiar nad prozą opowieści nowej pracować
Przyglądasz się bezczynnie w sercu róży śpi sobie owad
Widzisz swych rysów odbicie w agatach świętego Wita i w niemych przestrachu trwasz
Posmutniałeś śmiertelnie kiedyś ujrzał na nich swą twarz
Jesteś niby Łazarz co oszalał gdy dzień światłem jaskrawym lśnił
Na zegarach żydowskiej dzielnicy obie strzałki posuwają się w tył
Ty też cofasz się powoli wstecz gonąc życia minionego porę
Kiedyś chodził na Hradczyn lub w tawernach słuchał wieczorem
Czeskiej piosenki ludowej niezapomnianych tonów

Teraz jesteś w Marsylii w koło piętrzą się sterty kawonów

Teraz znowu w Koblencji w hotelu Pod Gigantem

A teraz w Rzymie siedzisz w cieniu drzewa z krainy chryzantem

A teraz w Amsterdamie z młodą brzydką dziewczyną uważałeś ją za piękną niegdyś
Miała zamiar wyjść za mąż za jakiegoś studenta z Leydy
Pokoje tam wynajmują Cubicula locanda wszędzie anonsy brzmiały po łacinie
Pamiętam trzy dni tam spędziłem jak i w innej holenderskiej mieścinie

Obecnie jesteś w Paryżu pod sędziego śledczego władzą
Jak zwykłego przestępcę do aresztu cię oto prowadzą
W strasznych i szczęsnych podróżach zmierzyles szeroki świat
Zanim odgadłes kłamstwo przemijających lat
W swym dwudziestym i trzydziestym roku z miłości wiele cierpiales
Zylem jak obłąkaniec życie swoje roztrwonilem całe
Nie śmiesz spojrzeć na własne dłonie ciągle chce mi się wybuchnąć szlochem
Nad tym wszystkim co cię odrętwiło nad sobą nad tą którą kocham

Patrzysz na tłum emigrantów łza współczucia w oku ci świeci
Oni modlą się wierzą w Boga matki dają pierś do ssania dzieciom
Pełna jest ich odor poczekalnia dworca Saint-Lazare
Wierzą w gwiazdę swą jak trzej królowie to najsilniejsza z ich wiar
Myślą że w Argentynie majątek zbić to rzecz łatwa
I że potem wrócą do kraju przywożąc swoje bogactwa
Jak ty serce przenosisz wraz z sobą tak z rodziną wszędzie wędruje czerwony puchowy jasiek

Jest on nierzeczywisty jak wszystkie marzenia nasze
Niekórzy z tych emigrantów pozostają tutaj na stałe
W pobliżu rue des Rosiers albo na rue des Ecoiffes zajmują kłitki małe
Widujemy ich często wieczorem chcą po pracy wytchnąć na ulicy
Rzadko zmieniają miejsca jak figury na szachownicy
Są to przeważnie Żydzi ich żony w perukach stare
Tłwicz z bezkrwistymi twarzami w sklepikach za kontuarem

Stoisz nad blachą bufetu w dusznym pijackim barze
Zamówiles kawę za dwa sous twoi sąsiedzi nędzarze

W wielkiej restauracji znajdujesz się nagle nocą

Te kobiety nie są takie złe stale muszą martwić się o coś
Każda z nich nawet najbrzydsza umie kochanka ranić
Ta to córka sierżanta z Jersey Jersey miasteczko małe

Jej dłonie twarde splekane dloni tych nie widziałem
Na jej brzuchu znać szwy zabliźnione wzbiera we mnie litość bez granic

Jak okropnie się śmieje ta nieszczęśliwa dziewczyna zniżam przed nią w tej chwili twarz

Samotność świt już niedługo
Młeczarze na ulicy brzęczą pustymi bankami

Noc cichaczem odchodzi jak służebna od łoża pana
Raz to Ferdyna nieszczęza kiedy indziej Lea oddana

Popijasz ten alkohol wrzący jak war twego życia
Pijesz swe życie jak wódkę prawdziwą wodę życia

Idziesz w stronę Auteuil do siebie chcesz piechotę wracać pijany
By zasnąć pośród Jetyzów z Gwinei czy z Oceanii
To wszystko są Chrystusowie tylko że innej postaci inni ludzie przed nimi truchleją
To Chrystusowie podrzędni przodujący nieznanym nadziejom

Dobranoc i noc przemija

Słońce ścięta szyja

Przełożył ROMAN KOŁONIECKI

FELIKS ARASZKIEWICZ

AMBICJE KULTURALNE LUBLINA

RYSUNKI PIÓRKIEM TADEUSZA TERLECKIEGO

1. Panorama

Przedmieście stolicy, przedpole Wschodu, największe skupisko na szlaku Warszawa—Lwów i Radom—Równe, miasto balansujące między Polską A i Polską B, miasto 120-tysięczne, o pięknej panoramie, z patyną zabytków, zamkniętych w łańcuchach średniowiecznych wież, miasto Biernata, Kłownowica, Kochanowskiego, Pola, Prusa i gród Unii i rządu ludowego, gród zamku Kazimierzowego, kaplicy Św. Trójcy, Trybunału „diabelskiego”, wicy krakowskiej, gotyku brygidek, renesansu katedry, baroku bernardynów, miasto zbyt małe, żeby coś w Polsce

i społeczne Lubelszczyzny. D. M. Biernacki *Kurierem lubelskim* walczy z obskurantyzmem i ciemnotą kultuństwa. Leniwie wlecz się czas lamp naftowych, bierność ogółu i skrytych komórek dynamitu patriotycznego. O kulturze w sensie europejskim — glucho. Grupa Don Kichotów swoje — ogół swoje. O beznadziejna martwico prowincji, kto cię nie znał, ten nie był naprawdę Polakiem!

Zaraz po wojnie rozsiada się w obszernym gmachu Uniwersytetu lubelski ze 120 tysięcznym księgozbiorem. Tuż-tuż obok wytryska raz za razem gejzer poezji lubelskiej, oświetlony wydawnictwem *Reflektor*. Kolumny nauki — bluszczy literatury. Na Starym Rynku wprowadza cię przed trybunał cne oblicze w granicy — to Jan z Czarnolasu, roboty Strynkiewicza. Potężna księga ku czei St. Staszica zadziwi witriny księgarskie rozmiarami zbiorowej wiedzy o tym, co ze „sługą nie chciał gadać, stając przed obliczem Pana”. Przegląd lubelsko-kresowy, piękny dwutygodnik kultury lubelskiej poświęcony, żyje przez kilkanaście miesięcy, chudnie, niknie i ginie bezpowrotnie. Pomyślana szeroko monografia gospodarza woj. lubelskiego kończy swój żywot na jednym tomie: na pstrym koniu jeździ łaska pańska, która powołała to dzieło. Tylko wytrwale, dysząc i robiąc bokami — stoi, jak cokół, Tow. Przyj. Nauk już rok dziesiąty i — skromne a ważne Tow. Mil. Książki: biedne, zaharowane, bezdomne bi-

Artystyczna miasta wyżenie zaczarowana brudem brzydotej ulic, przyoblekając, w tempie przyspieszonym, ich wygląd nawet neonami. Zebrały się te donkichoty-masony, skrzyknęły razem i — porodziły związek wszystkich związków kulturalnych. Budują wielki Dom Kultury, bank i społeczeństwo forszę dają, dom stoi pod dachem: zamieszkała tu po społu wszystkie księgi, okazy naukowe, literaty, zbieracze, szperacze, plastyki, muzykoni i wszelakie gołce. Stąd będą świecić bliźnim całego województwa światłem w oczy, tu mają ożyć emmentaryska biblioteki publicznej i zbiorów naukowych, by straszyc, nie dać spać „pospół-



ZYGMUNT KUKULSKI

matyczną pracę na różnych odcinkach. Odbywają się według planu co miesiąc koncerty własnej orkiestry symfonicznej. Doskonali chór „Echo” osiąga na zlocie ogólnopolskim 3-cią nagrodę. *Wesele lubelskie*, całkowicie na motywach ludowych zbudowane, obiega setki razy w różnych zespołach wiejskich całe województwo, ma iść także w gościnę na Śląsk. Zbieracze pieśni ludowej zgromadzili już kilka tysięcy zdobytych motywów, a część wydali w 1-szym tomie p. t. *Lubelska pieśń ludowa* (Książnica Atlas, 1936). Tow. Propagandy Sztuki, powstałe ze skromnej komisji plastycznej Lub. Zw. Pracy Kulturalnej, karmi Lublin stale zmieniającymi się wystawami miejscowych i obcych artystów. Chyba po raz pierwszy zdarza się sędziemu grodowi mieć prawie stały Salon Sztuki. Od trzech lat co roku dla ezlachetnego pobudzenia twórczości Związek nadaje nagrody (1 tys. zł.) za wybitną twórczość na polu nauki, literatury, sztuki. Laureatami są: dr Julian Krzyżanowski za dzieło *Romans polski XVI w.*, K. A. Jaworski za twórczość poetycką, a szczególnie za wydawanie miesięcznika literackiego, chełmskiej *Kameny*, w ciągu lat 3. M. Papięska — za 40-letnią działalność kulturalno-społeczną i oświatową. Specjalny komitet, powołany przez Związek, urządza wystawę (jedyną w swoim rodzaju) Pamiątek z pobytu J. Piłsudskiego na Lubelszczyźnie. Tow. Przyjaciół Nauk co roku wydaje kilka cennych publikacji, głównie o charakterze miejscowym, ostatnio *Pisanki lubelskie* St. Dąbrowskiego. Jednocześnie się plastycy w Związek zawodowy, jednocześnie literaci nieliczni ale ruchliwi — z Łobodowskim na czele. Tworzy się Pogotowie prelegentów popularnych (pół setki) do wyjazdu na wezwanie prowincji. Drogi wytyczone; zachodzi konieczność zorganizowania szybkiego i wzmoczonego ruchu na tych drogach. Potrzebny stały teatr z wypadami na powiaty, potrzeba 3 tysięcy odczytów popularnych rocznie, zamiast dotychczasowych 60, potrzeba 3 tysięcy kompletów bibliotek ruchomych zamiast dotychczasowych 327. Demokratyzacja kultury tego wymaga. Konsument jest, czeka: wśród chłopów wsi i pracowników miasteczek.

Ambicje rozbudzone, Lublin nie chce być Pacanowem.

FELIKS ARASZKIEWICZ



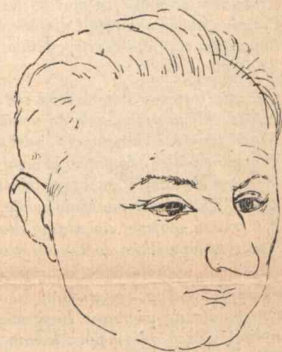
KS. LUDWIK ZALEWSKI

znaczyć, a zbyt duże, żeby nie znaczyć nic, miasto dziwne, którego nikt, prócz nielicznych artystów, nie kocha; miasto, do którego autochtoni są przyzwyczajeni beznadziejnym uczuciem trwania bez dumy, z zażenowaniem jakby w obliczu warszawistów czy innych ludzi „ze świata szerokiego”. To Lublin.

Prowincja i nie prowincja, codzienny truchcik szarzyzny i erupcje wielkości: miasto, które pierwsze otworzyło serce całej brygadzie Komendanta, które dało ożyźniającą żołnierzowi polskiemu, „co nie chciał uznać”. Miasto sprzeczne samo w sobie, poszukujące własnego „jeststwa” w stałym trudzie inicjatywy, wciąż powstającej i wciąż wręczającej się upiornie. Jak by już nikt i nie nie potrafiło umocnić zdobytych pozycji, by, tworząc nowe wartości, nadać wreszcie na stałe wyraźne indywidualne oblicze odrębnej, własnej kultury.

2. Niedawna dawność

Niektórzy ludzie już przed wojną kochali Lublin. Najwcześniej ustawił słupy duchowego domu kultury Hieronim Łopaciński — swym skrzętnym, zapobiegliwym, upartym zbieractwem ksiąg, okazów, pamiątek, pieśni, tworząc zrzęby etotysięcznej dziś biblioteki publicznej jego imienia. Inne znowu miłujące ręce powołały do życia i utrzymywały Muzeum lubelskie. Te dwa ośrodki stanowiły jedyne stałe placówki pracy kulturalnej — opierającej się naturze ofensywie ducha wschodu. Ks. A. Wadowski pisze monografię kościołów lubelskich, W. Wierciński bada stosunki gospodarcze



FELIKS ARASZKIEWICZ

bliofily z parafii ks. Ludwika Zalewskiego. Poety, przelotne ptaki, dziś tu, jutro tam: rozbiegają się. Malaria — w rozspie. Teatr — jak by go nie było. Taki był dzień wczorajszy. Don Kichot z protezą (ten od Tow. Przyj. Nauk.), Don Kichot w sutannie (proboszcz parafii bibliofilów), pętając się, wchodzi w dzień dzisiejszy. Są tu „królewski” miejscowe, galicjanie przyholubione, kresowiaki wywiezione z siodła, kupa — grupa lotnego piasku, ogrzewanego miejscowym słońcem.

3. Zbiorowy zatrzyk don kichotów

Rok 1934. Miasto ma kanalizację i szalet publiczny Nr. 1, ma elektrownię, rzeźnię, Dom żołnierza, kilka skwerów, ogródki działkowe, nową dzielnicę na Dziesiątej i Alejach Raclawickich. Wnet potem Rada



STANISŁAW LEWICKI

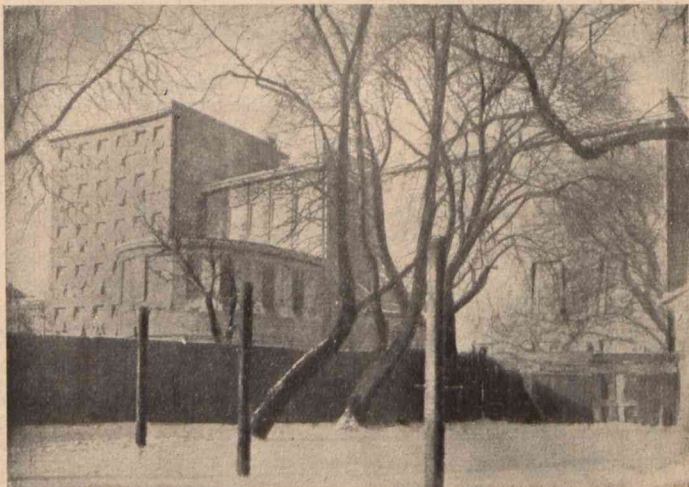
stwu”. Stąd mają płynąć biblioteki ruchome w świat (obecnie 327 kompletów po 75 książek), stąd ma gospodarzyć pieśnią ludową Zw. Teatrów i Chórów ludowych, *Wesele lubelskie* i *Kupała* dziś podbijający dumę artystyczną folkloru lubelskiego. Tutaj falować będą wieczory czwartkowe literackie (dotąd było ich pół setki) swymi dyskusjami, a pod szklanym stropem wielkiej sali wystawowej znajdzie wreszcie gniazdo stałe Tow. Propagandy Sztuki, żywe, ruchliwe i rozpedliwe. Don Kichoty, zbrojne w



JÓZEF DUTKIEWICZ

koraminę, idą zdobywać zatrzykami serce Lublina.

Wytyczono drogi i ścieżki, sformowano kolumny marszowe pod jednym dowództwem. Wprowadzono planową i stałą, syste-



BUDOWA GMACHU ZW. PRACY KULTURALNEJ W LUBLINIE

WŁADYSŁAW JAWORSKI

BEZ TYTUŁU

Dawno we faldach dymu chłodne dzwony znikły,
tylko sinych rozwidnień prąd w czeluściach się szarpie.
Noc marmurowa: mosty bezładne i pomniki
wstępujące schodami szumu w światel hierarchie.

Stoję, a ciągnie surowy obłok pozornej wiosny,
by zaćmić dwoistą urodę nadrzecznego miasta.
Lecz ty nie powrócisz, bólem kochana conocnym,
gdy wśród wspomnień zostałem — samotniejszy niż gwiazda.

Przemijają w mętym mroku gmachy wsparte o poszum,
widma z kamienia sterczą na wyniosłych tarasach.
Pod niebem z popiołu nie słychać już żadnych głosów
i lamp lazurowych kolowrót nade mną dogasa.

„R O Z D R O Ź E”

Rozdroże Marii Dąbrowskiej¹ — studium na temat zagadnień wiejskich, jak głosi podtytuł — zajmuje się nie tyle całokształtem zagadnień wiejskich, ile kwestią reformy rolnej. Składa się z dwóch części: pierwsza p. t. *Wczoraj* rozpatruje rolę polskiej szlachty od zarania dziejów aż po dzień dzisiejszy a właściwie jej stosunek do chłopów i do kwestii reform społecznych.

Bilans ten musiał wypaść ujemnie, choćby z tego względu, że stosunek wszelkich tłumów, wszelkich ogółów do postępu i do wszelkich reform jest zawsze ujemny, t. zn. bierny, niechętny i zacofany. Dzieje ludzkości szły zawsze tym smutnym rytmem rozpaczliwej walki jednostki z tłumem. Oprócz jakichś krótkich i przelotnych chwil zapału „ogółu”, — najczęściej zapału bojowego — nie widzieliśmy w dziejach objawów trwałego, ofiarnego zapału tłumów, składających na ołtarzu dobra powszechnego swe dobra i życie, aby zapewnić panowanie sprawiedliwości na ziemi. Całe dzieje ludzkości dało by się ująć w tragiczny dwugłos szlachetnych, ideałowych jednostek z oporną i niechętną gromadą ludzką. Łatwo jest porwać za sobą tłumy nędzarzy i „wydziedziczonych, aby szły mścić swoje krzywdy i przemocą odbierać niesprawiedliwie rozdzielone bogactwa ziemi, trudno jest porwać tłum, aby dla sprawiedliwości i miłości bliźniego wyrzekł się swoich przywilejów i dóbr.

I jeśli historycznej części pracy Marii Dąbrowskiej można zarzucić jakąś stronniczość, to właśnie tę; można jej zarzucić brak perspektywy wypływającej z ukazania tych własnie cech polskiej gromady szlacheckiej jako rodzaju „spécialité de la maison”, podczas gdy są one cechami wszystkich krajów, wszystkich epok i wszelkich ogółów.

Pewien niewątpliwie tutaj fałsz historyczny wypływa, jak zwykle, nie z fałszowania faktów, ale z ich wyboru, a jeszcze bardziej ze sposobu rozmieszczenia ich w polach perspektywy dziejowej i ludzkiej.

Druga część *Rozdroża* p. t. *Dziś* rozpatruje stosunek ziemian do chłopów w Polsce dzisiejszej, rozpatruje zagadnienie reformy rolnej w jej stadium obecnym. Pałając tę kwestię ogląda autorka z przeroznych punktów.

Naprzód ukazuje jej jakby moralną konieczność, przedstawiając ją jako rodzaj restytucji, jako rodzaj zadośćuczynienia i ekspiacji. Wprawdzie rozumie, że te względy nie mogą służyć za podstawę reform ekonomicznych i społecznych, ale jednak — jedynie motywem ekspiacji i restytucji daje się wytłumaczyć i uzasadnić proces historyczny, wytoczony szlachcie i ziemiaństwu. Inaczej w tej pracy nie miałby on umotywowania. Oprócz idei ekspiacji służy część historyczna autorce do przeprowadzania analogii między niechęcią dawnej szlachty do wszelkich reform a dzisiejszą niechęcią ziemian do reformy rolnej.

Dalej stara się wykazać Dąbrowską ekonomiczne i gospodarcze korzyści reformy rolnej, omawia je pod kątem produkcji, wydajności, aprowizacji miast, armii itd., zwracając te właśnie argumenty, które przeciwnicy reformy przeciwko niej wysuwają. Ale najważniejszym motywem Dąbrowskiej jest motyw społeczny i humanitarny. Nedza wsi, jej przeludnienie, moralne prawo chłopca do ziemi, wiara, że chłop jest najbardziej dynamiczną siłą Polski i że tę siłę trzeba podtrzymać — to są to główne motywy, które skłaniają Dąbrowską do zdecydowanego opowiedzenia się za koniecznością szybkiej reformy.

Zadania Dąbrowskiej nie są nawet bardzo radykalne. Oświadcza, że nie jest zwolenniczką list imiennych, że nie jest zwolenniczką reformy bez odszkodowania, że uważa, iż zachowanie pewnej ilości większej własności jest dla ekonomicznej i moralnej równowagi kraju potrzebne, oświadcza, że rujnowanie przez państwo którejkolwiek z obywateli jest szkodliwe. Jest tylko za przechodzeniem własności większej w ręce chłopskie, a wobec tego, że ten proces, jakiegokolwiek mu dać imię, jest w pełnym toku (w ostatnich latach kilkunastu 50% własności większej przeszło w ręce małorolnych), taki apel byłby zbyteczny. Dąbrowska wie o tym, toteż całkiem inny jest cel jej książki. Dąbrowska występuje przeciwko przechodzeniu ziemi w ręce chłopów bogatych, wysuwa i broni praw do ziemi najbiedniejszych i zwraca się z gorącym i namiętnym apelem do ziemian, aby do reformy szybszej i bardziej bezinteresownej ustosunkowali się przychylnie, a jeszcze lepiej, aby się zdobyli na gest

wielkoduszny i ziemię swoją właśnie tym chłopom najbiedniejszym oddali dobrowolnie, obiecując im za tę stratę materialną dobrą moralną; teżyżnę duchową, szlachetność, poważanie itd.

Ta konkluzja książki ekonomicznej i społecznej jest dość oryginalna i nieoczekiwana, jest ona jej rysem charakterystycznym i wyodrębnią szczęśliwie książkę wielkiej pisarki spośród szeregu publikacji demagogicznych. Przeważna ilość prac demagogicznych mówi po prostu jątżące zawsze i wzbudzające zawiść i zachłanność „bierz”. Dąbrowska mówi szlachetnie i wzniosle „daj”, i w ten sposób przesyburowie swoją książkę na tory zupełnie inne, na tory szlachetnej, choć nie zawsze realnej, ideaowości.

Tu leży i pomyłka książki (jak zobaczymy dalej), ale to jest zarazem jej stroną sympatyczną. W tych akcentach gromiących, pełnych oburzenia, przetaczających się jak grzmoty poprzez karty zapelnione wywodami ekonomicznymi, w tych błagalnych wołaniach, w tym pełnym wzruszenia apelu do ludzi, by oddali dla dobra drugich swoje majątki, swoje stanowisko (?) — jest coś patetycznego, coś doprawdy wzruszającego. Te skargowskie akcenty świadczą raz jeszcze o wielkim, gorącym sercu Marii Dąbrowskiej; są niewątpliwie szczere i podyktowane istotną troską o dobro ludzi i kraju. Ale jeżeli *Rozdroże* ma akcenty drżące zawsze w książkach wielkich idealistów, wielkich marzycieli i serc gorących, ma także i akcenty naiwności i doktrynerstwa, nie rzadko w parze z górnymi zapalającymi idąc.

Doktrynerstwo Dąbrowskiej ujawnia się głównie w ekonomicznej i gospodarczej argumentacji. Polega ono na najwymownym często przeplataniu wywodów czysto ekonomicznych argumentami uczuciowymi i ideowymi. Nie chcę twierdzić, że względy moralne i ideowe nie powinny być brane w rachubę nawet w ekonomii. Ale jednak w książce Dąbrowskiej panuje dziwne „pomieszanie materii”. Tak np. powoływanie się na powieść Hamsuna, jako na dowód, że i bez kapitału można ziemię dobrze zagospodarować, odwoływanie się do obywatelskich uczuć armii, na wypadek, gdyby aprowizacja wojska przez chłopów była gorsza, niż przez wielką własność, nie wyglądają poważnie.

Do doktrynerstwa można też zaliczyć obraz chłopów, który nam kreśli autorka. Bo choć twierdzi, że chłopów nie idealizuje, twierdzenie to jest dość głośnie. Masa chłopstwa, w przeciwieństwie do masy ziemiańskiej, ukazuje nam się jako masa idealna, nastawiona obywatelsko, gotowa do wszelkich ofiar, obojętna na to, czy, kiedy i jak ziemię z reformy rolnej dostanie. W mniemaniu Dąbrowskiej chłop nie upomina się o reformę i nie uzależnia od niej swego stosunku do państwa. Jak bardzo takie twierdzenie jest sprzeczne z rzeczywistością, do wódz nie potrzeba.

Tu, w tym niewątpliwym daltonizmie, który pacy w oczach Dąbrowskiej rzeczywistość i do realności życia ją odrywa, uderza nas zjawisko literackie dość ciekawe, uderza nas mianowicie stosunek Dąbrowskiej-powieściopisarki, do Dąbrowskiej-publistyki.

Na bene, i to wielkie bene Dąbrowskiej, zapisać trzeba, że pracę swoją publicystyczną od literackiej oddzieliła. Modą dnia jest pakować w powieści wszystkie przekonania i pouczenia i agitacje i czyny społeczne, polityczne itd. Ze tej modzie nie uległa Dąbrowska, świadczy to i o jej rozumie i artystycznym smaku. Osoba, która plonie po prostu i rozpała się, mówiąc o sprawach wsi, chłopca i ziemianina — potrafiła jednak napisać 6 tomów powieści, właśnie o wsi, o ludziach ze sfer ziemiańskich, nie wykorzystując tej okazji do agitacji, do pouczeń, do „wykazania” słusności swoich przekonań społecznych i politycznych zapatrywać. Nie jest to bynajmniej ironia, choć może na nią wyglądać, ale zjawisko to, tym bardziej wydajna różnica, jaka istnieje między autorką *Nocy i dni* i autorką *Rozdroża*, uwydatnia różnicę spojrzenia w życie i jego rzeczywistość tych dwóch, tak do siebie nie podobnych, indywidualności pisarskich.

W wielkiej swej epopei mówiła nam właśnie Dąbrowska o człowieku „w funkcji” klasy, stanu, zawodu; mówiła o ludziach pracujących na ziemi, z ziemi wychodzących, z ziemi zrośniętych, mówiła o potomkach tej od czci i wiary odsądzonej szlachty, o jej stosunku do własności, do chłopca, do sprawy społecznej i ekonomicznej. Ale, aby powiedzieć to, co do powiedzenia miała o klasach, stanach, społeczeństwie, własności, mówiła wyłącznie i jedynie o człowieku. I robiła słusznie, bo o sprawach ludzkich mówić nie podobna inaczej, jak mówiąc o człowie-

ku. Tam, gdzie się przeoczy „das ewig menschliche“ w ludziach, przeocza się zarazem wszystko. Nie dostrzegasz prawdy istotnej i zasadniczej. Oczywiście „prawda”, którą ma nam objawić artysta, jest nieco inna niż ta, której żądamy od publicysty, ale nie tak znów „inna” jak by się zdawać mogło. Bo u dna jednej i drugiej tkwi człowiek, a niezrozumienie go tu czy tam daje zawsze wyniki szkodliwe.

Tę możliwość dwóch spojrzeń i poznań rozumie zresztą Dąbrowska sama, gdyż z pełną świadomością artystki mówi te piękne słowa: „Gdybym chciała oddać pełnię zawziętych prawdy tego malowniczego świata, musiałabym zająć wobec niego postawę artystyczną, do czego, zdaje się, jestem zdolna. Mam w sobie wszystkie tony dziwacznej symfonii polskiego sztaństa i anielstwa. Potrafiłabym je wygrać wszystkie, od najposępniejszych i najfałszywszych, do najczulszych, najbardziej niebiańsko czystych. Wypiewywałabym to już zresztą nieraz w muzyce i w literaturze — i to najprzedniejszej. Lecz w tej chwili patrzymy na rzeczy nie pod kątem artystycznej czy filozoficznej kontemplacji, ale pod kątem dzisiejszych potrzeb narodu i państwa, pod kątem walki o jutrzejszą Polskę”.

To usunięcie kąta patrzenia artystycznego i filozoficznego nie wyszło książce na dobre. Bo nie ma spraw ani problemów oderwanych, są tylko sprawy i problemy ludzkie i człowiecze, a gdzie nie widzimy człowieka, problemy stają się nierealne i zawieszono w próżni. A właśnie tak jest w *Rozdrożu*: nie ma w nim człowieka, są tylko dwa bloki: blok szlachty i blok chłopów, bloki podobne raczej do symboli a jeszcze bardziej do politycznych czy społecznych hasel. Stąd płynnie stronniczość i jednostronność ujęcia grup obu, stąd płynnie uderzające uproszczenia stosunków politycznych, a nawet społecznych, Dąbrowska operuje tu kategoriami, a szczęście dawno przewyżczonymi, kategoriami trochę przypominającymi Konopnicką: jedne przeciwstawienie, jakie dostrzeżę, to przeciwstawienie: chłop — dziedzic. Nie widzi, czy widzieć nie chce, że pewne grupy chłopie idą razem z pewnymi grupami ziemian, złączone wspólną ideologią polityczną, społeczną, religijną i wspólnie przeciwstawiają się innym grupom, innym chłopom i innym ziemianom, inną ideologią złączonych. Nie widzi, czy widzieć nie chce, że różni chłopcy różnych rzeczy się domagają, przeciwko różnym czynnikom się zwracają, że lub inne czynniki zwalczają lub popierają, często razem — często wbrew różnym ziemiańskim partiom politycznym.

Z tego spojrzenia, nie dostrzegającego różnorodności i komplikacji zjawisk życiowych, wynika też i druga konsekwencja, napewno przez autorkę nie zamierzona: jej polityczna partyjność.

Dąbrowska zastrzega się, że do żadnej partii politycznej nie należy. Jest to napewno prawdą, ale o przynależności partyjnej nie decyduje jedynie zapisanie się na jakąś listę, decyduje raczej i przede wszystkim pewien kąt patrzenia, pewna mentalność. Otóż człowiekowi najmniej w arkanach politycznych bieglemu te sympatie polityczne Dąbrowskiej są jasne. Mówiąc ciągle o ziemiaństwie i jemu przypisując ospałość w przeprowadzaniu reformy, zwraca dę facto ostrze tej krytyki przeciwko rządowi pomajowym, rządowi, które wedle Dąbrowskiej usunęły chłopca od władzy, zatamowały reformę, używały pieniędzy na inwestycje niepotrzebne i nierentowne, uniesione dumą mocarstwowa. Sympatie jej zwracają się zupełnie jawnie w kierunku Stronnictwa Ludowego. Politycznie jest ta książka wyrazem tego właśnie stronnicstwa.

Jej oskarżenia rządów lat ostatnich o istniejące u nas — zle, według niej stosunki, zlewałyby się harmonijnie z oskarżeniem ziemiaństwa, gdyby w tych latach rząd rzeczywiście w ręku ziemiaństwa spoczywał. Że tak nie było i nie jest, wie chyba każdy, najmniej z polityką obznajmiony; że tak się wydale Dąbrowskiej, jest znowu błędem tego spojrzenia w rzeczywistość, błędem, który sprawia wrażenie pomyłki w adresie książki.

Gdy się chce pracę publicystyczną ocenić z punktu widzenia wartości literackiej (a o to jedynie nam tu chodzi), trzeba się zastanowić nie tylko nad słusnością i prawdą jej założeń, nad konsekwencją wniosków, trzeba także zastanowić się nad jej celowością. Bo książka taka nie jest tylko „zadumą nad życiem”, jest także pobudką do czynu. I w jej dynamice życiowej leży jej wartość.

Celem książki Dąbrowskiej jest, jak wspominaliśmy, zachęcenie ziemian do u-

łatwienia reformy i do oddania ziemi, do zejścia dobrowolnego ze stanowiska rządzącego i przodującego (?).

Jest to żądanie większe, niż by się nawet na pozór zdawało, żądanie godzące nie tylko w pewien stan posiadania, ale w samą istotę człowieka, w istotę jego egoizmu. Bo istotą ludzkiego egoizmu jest właśnie identyfikowanie siebie z dobrem państwa, kraju, czy społeczeństwa, jest to instynkt od chciwości materialnej o wiele silniejszy, choć z nią złączony. Człowiek, który by uznał, że fakt jego działania, fakt sprawowania i wypełniania pewnej funkcji, że fakt jego istnienia jako takiego jest niepożądanym i szkodliwym — byłby człowiekiem, który by przewyżczył najsilniej w duszach ludzkich zakorzenione przekonanie: „dobro to ja”. Tę samą psychologię, co każdy poszczególny człowiek, ma także i każda ludzka grupa, każda ludzka klasa czy stan. A tego właśnie wyrzeczenia, tego przewyżczenia własnego „ja” żąda Dąbrowska od ziemian.

Przypuśmy nawet, że zjawisko takiego kolektywnego przewyżczenia ludzkiego egoizmu i przywiązania do posiadanych dóbr jest możliwe, że znajdzie taki fenomen; przypuśmy, że ten egoizm nazwiemy jedynie egoizmem klasowym i że go setki i tysiące ludzi równocześnie odrzuci i zdepcze (jakieś fenomeny widzieliśmy już w dziejach!), to pozostaje otwarte pytanie, czy książka Dąbrowskiej do takiej przebudowy od wewnątrz człowieka i całej ludzkiej grupy daje bodźce dostateczne.

Zdarzają się wypadki, że ludzie dla idei poświęcają mienia, życia i nawet własne „ja”. Ale poświęcają je zawsze i wyłącznie dla idei absolutnej, dla idei, w której absolut wierzili bez ograniczeń i bez zastrzeżeń. Wszystkie wiary, wszystkie ideologie świata, chcąc pociągnąć i pociągające ludzi, dawały im zawsze rodzaj gwarancji bezapelacyjnej. Chrześcijanin wierzy w absolutne dobro swej ofiary, przyjmuje gwarancję swej religii za gwarancję absolutną. Tak samo postępuje komunista i wyznawca Marksa.

Otóż tej właśnie gwarancji, gwarancji absolutnej, Dąbrowska w swej książce nie daje. Nie ukazuje nam absolutu, w którym jedynie zgorzeć może człowiek, razem ze swoim mieniem i osobowością. Nie daje nie tylko gwarancji obiektywnej, ale nawet subiektywnej.

Dobroczyńnych skutków gospodarczych i ekonomicznych reformy nie stwierdza z całą stanowczością. Mówi o nich zawsze (zresztą z wrodzoną sobie rzetelnością) raczej w trybie przypuszczalnym i prawdopodobnym. Wie także, że reforma, choćby najradzykalniejsza, przeludnienia i między wsi nie wyleczy. Że będzie jedynie pewnym prowizorium i zalatwieniem chwilowym. Motyw sprawiedliwości historycznej, restytucji, jest także połowiczny, gdyż w jego świetle ogromna ilość ziemian, którzy potomkami dawnej szlachty nie są, od tego moralnego obowiązku byłaby w sumieniu zwolniona. A o najważniejszej dla niej stronie ideowej zagadnienia, o dobru państwa i zabezpieczeniu jego przyszłości, mówi w następujących, bardzo uczuciowych, ale od pewnością absolutnej dalekich słowach: „Zadnej też nie mam rekojmi, jak nikt jej mieć nie może, co chłopci, wzięwszy w swe ręce odpowiedzialność za los Polski, z losu tego uczynią. Ale to wiem, że w tej chwili Polska nie ma nie bardziej cennego i bardziej brzemiennego przyszłości niż chłopci i że w ich ręku, a nie w żadnych innych, jest przyszłość tej miary”. I w zakończeniu mówi tak: „Bo wieś żadnego włożonego w nią wysiłku nie zmaruje. Każdy sowiec pomoże, każdy przeobrazi w nowy czynnik nie przecenianych nawet a w ostatecznym wyniku na pewno cennych wartości” (podkreślenia moje).

Nie absolutna pewność przemawia przez te szlachetne słowa, przemawia przez nie przypuszczenie, i to przypuszczenie — jakby desperackie: „Nie wierzyć w to było by tym samym, co nie mieć wiary w Polskę”.

Nie tą wiarą zdobywa się wyznawców, nie z tej gliny lepi się bohaterów i nie tymi słowami przeobraża się ludzkie dusze.

Prawdy spojrzenia w rzeczywistość, konsekwencji wniosków i tego posiadania prawdy absolutnej — książce Dąbrowskiej brak. I to jest słabą stroną książki pisanej pięknie, po prostu, książki wzruszającej szlachetnością, miejscami patetycznej i wstrząsającej.

Niedościgała w artystycznym oddaniu życia, w wydobyciu jego prawdy, w wyciągnięciu wniosków — pisarka okazała się słabszą znawczynią życia i ludzkiego serca, gdy właściwy sobie instrument sztuki odsunęła na bok, aby chwycić w rękę pióro męża stanu i społecznego reformatora.

Z. STAROWIEYSKA-MORSTINOWA

¹ MARIA DĄBROWSKA: *Rozdroże* — studium na temat zagadnień wiejskich. Wydawn. J. Morkowicza.

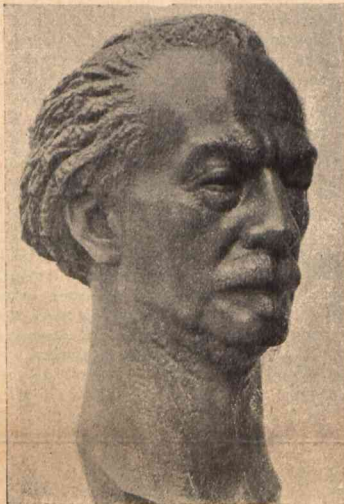
KONRAD WINKLER

ŻYWE GŁAZY

WSPÓLCZESNA RZEŻBA POLSKA W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI

Wielki Rodin, zwracając się w swym *Testamencie* do kolegów i uczniów, powiada, że „sztuka rozpoczyna się dopiero tam, gdzie jest prawda wewnętrzna”. Tak mówi zza grobu do swych następców ów wielki realista, którego spotkał raz ze strony jury zarzut, iż figury swej nie wyrzeźbił, lecz odlał ją z żywego modelu. Owa „prawda wewnętrzna” genialnego twórcy *Balzaka* i *Mieszczan z Calais* polega niewątpliwie na dążeniu do „rzeźby czystej”, gdzie ani stosunek artysty do rzeczywistości widzialnej, ani żadne formułki estetyczne nie są rozstrzygającą instancją, gdzie jedyną ideą, godną twórczego artysty, jest *idea formy rzeźbiarskiej*.

Pobieżny bodaj rzut oka na obecny stan rzeźby europejskiej pouczy nas niewątpliwie, że dzisiejsza koniunktura konkurencyjna w tej dziedzinie jest dla nas wyjątkowo korzystna. Poza rzeźbą francuską, nie ma ta sztuka nigdzie prawie zbyt mocnych pozycji. W Jugosławii Iwan Mestrovic, w Italii bracia Wildtowie, poza tym szeregiem dużej miary talentów w Z. S. R. R., w Niemczech i t. d. nie wywierają jednak większego wpły-



A. KARNY PADEREWSKI

wu na całokształt twórczych osiągnięć w rzeźbie światowej. Jeśli chodzi o rzeźbę francuską, to zawdzięcza ona swe przodujące miejsce nie tylko wysokiej skali swych plastycznych problemów, ale także jasności, prostocie i szczerości w użyciu środków kształtowania i swej niezachwianej logice budowy.

Z tą podstawową orientacją artystów francuskich, manifestowaną szczególnie w dziełach Maillola i Despiau, współczesna rzeźba polska, mimo naszej niespełna wiekowej tradycji w tej dziedzinie, posiada jednak wiele wspólnego. Artyści nasi, kształcący się w Paryżu, wynieśli stamtąd przede wszystkim poczucie miary i równowagi w rzeźbie. Nie dając się uwieść teorjom abstrakcyjnej estetyki kubistycznej, i to nawet w okresie wojującego formizmu (1917 — 1923), rzeźbiarze nasi w trosce o wartości plastyczne prze-



N. RAPAPORT GŁOWA



L. PUGET LWICA

jęli jednakowoż z tej estetyki jej ogólne zasady i prawa w podejściu do formy i budowy dzieła. Kubizm bowiem, jako moment wyzwalający w sztuce nowe, samorodne siły, jako nowa dyscyplina formalna i nowe prawo harmonii — rzucił swój ciężar olbrzymi na wszystkie wysiłki poważniejszych artystów europejskich, a tkwiące w nim bezsprzecznie pierwiastki klasycyzmu w nawoływaniu do twórczości przemyślanej i planowej, i nacisk, jaki kładł na porządek, prawo, konstrukcję, — wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na ukształtowanie się pewnych ogólnych zasad w rzeźbie epoki porodinowskiej.

Istnieją wprawdzie w rzeźbie europejskiej także tendencje przeciwne, nawiązujące do tradycji gotyckiej i do niespokojnego ducha i niepowsięgłości intelektualnej symbolizującej estetyki secesyjnej. Ale nawet w pracach naszego przedstawiciela tej odmiennej myśli rzeźbiarskiej, prof. Dunikowskiego, ów nowy porządek kształtowania znalazł swe częściowe bodaj uzasadnienie. W swych



ST. OSTROWSKI MICKIEWICZ

Evangelistach na Salonie, mimo zdecydowanie płaszczyznowej koncepcji dekoracyjnej tego dzieła daje Dunikowski własny pogląd na istotę tej konstruktywnej plastyki nowoczesnej. W podobny sposób uzależnia od tej ostatniej swą wizję rzeźbiarską Jan Szezepkowski, ale jego metoda twórcza w makiacie pomnika Bogusławskiego jest zupełnie inna. Przychodzą bowiem tutaj do głosu owe dobrze nam znane pierwiastki instynktownego kształtowania, które przed 15 laty znalazły uzasadnienie w twórczości naszych formistów. Pozycję H. Kuny na Salonie ratuje jego doskonały portret Witkowskiego, a mało znany w Warszawie L. Puget przynosi nam w akcie kobiecym i fascynującej *Lwicy* paryską atmosferę rzeźbiarską kwartalu Vaugirard. Sędziwy prof. Lewandowski w znanym portrecie Sienkiewicza daje dobre wyobrażenie o poziomie i aspiracjach swego rzeźbiarskiego *métier*. Szkoda, że prof. Wittig nie wziął udziału w Salonie, gdzie np. makieta jego świeżo ukończonego pomnika Służby Zdrowia byłaby świetnym dopełnieniem tej wyborowej kolekcji prac starszego pokolenia naszych rzeźbiarzy.

Pokolenie to przeszło przez impresjonizm, długi czas żyło i oddychało twórczością Rodina, a skoro zmieniły się nastroje i nasz stosunek do rzeczywistości widzialnej — potrafiło zdobyć się jeszcze na jeden wielki wysiłek, idąc w pierwszych szeregach uczestników walki o formę i o „prawdę wewnętrzną” swej szlachetnej sztuki. Nie wszyscy, co prawda, dotrzyмали kroku doniosłym przemianom epoki, nie wszyscy wyzwolili się spod kanonów wczorajszej estetyki — bo też i w rzeźbie francuskiej nastąpił po Rodinie, niedługi zresztą, okres odprężenia w stosowaniu zasady „czystego kształtowania”.

Nowe pokolenie rzeźbiarskie w Polsce znajduje się jeszcze w fazie poszukiwania własnego wyrazu plastycznego. Z jednej strony — przywrócona do swej godności i znaczenia forma („forma jako bryła, posiadająca swój ciężar gatunkowy, a zarazem jako kształt przestrzeczany” — Maillol), z drugiej zaś — zasady nowej architektury (Despiau) stają się niehawem punktem wyjścia w pracy rzeźbiarskiej nowego pokolenia. Ale w malarstwie nowoczesnym, gdzie walka o formę doprowadziła do najsłabszych eksperymentów w sferze intelektualnej dialektyki form, skierowanie artystycznych zainteresowań ponownie w dziedzinę koloru (Matisse, Bonnard) stanowiło tu niejako wentyl bezpieczeństwa przed następującym rozkładem i degeneracją malarstwa w ogóle.



H. NAŁKOWSKA EWA

W rzeźbie sytuacja wydaje się bardziej skomplikowana.

Impresjonizm przyniósł wprawdzie swym wyznawcom wiele nowych środków plastycznego wyrażania się (jak np. problem koloru w rzeźbie!), ale równocześnie zatracił poczucie materialności kształtu. Stąd może pochodzić ów pęd do stylizacji i nadnaturalności kształtów, gdzie stawia się na monumentalność, a wygrywa zwykłą dekoracją i sztuką stosowaną. To właśnie oczywiste niebezpieczeństwo grozi zdolnemu rzeźbiarzowi, A. Karnemu, jak również S. Komazewskiemu, M. Nalewajskiemu i jeszcze kilku innym reprezentantom młodszej generacji. Dlatego też wolę plastykę Nałkowskiej-Bickowej (*Ewa*), E. Hozzowskiego (*Pracznik*), J. Keilowej (*Nina*), W. Słodzińskiej (*Szkic kompozycyjny*), M. Wnuka (*Czekająca dziewczyna*) i N. Rapaporta (*Głowa*), którzy w genialnej sztuce Maillola i



K. DUNIKOWSKI PORTRET MĘSKI

Despiau znaleźli oparcie dla swej rzeźbiarskiej orientacji. Akt dziewczyny F. Strykiewicza byłby jedną z najlepszych figur kobiecych na Salonie, gdyby nie zbyt duża przesada pozy i gestu.

Szlachetna prostota, smak i umiarkowanie cechuje rzeźbę A. Zamoyskiego (*Głowa Wierki*), wiele również zalet dopatrzyć się można w pracach M. Grossówny, H. Hochmana, A. Jaworskiej, J. Klukowskiego, F. Masiaka, O. Niewskiej, K. Pietkiewicza i R. Zerycha. Miecz. Lubelski, obok swych dobrze skomponowanych biustów w sali głównej, niepotrzebnie popisuje się naiwnie wprost traktowanym fragmentem pomnika ulanów w Poznaniu. Figura Marszałka Piłsudskiego (J. Below) świadczy raczej o karygodnej pobłażliwości jury Salonu, aniżeli o takcie i smaku rzeźbiarskim autora.

Własna wystawa znanego rzeźbiarza, Stan. Ostrowskiego, nie traci bynajmniej przez swe sąsiedztwo z Ogólnopolskim Salonem Rzeźby. Owszem — spokojna, harmonijna i zdyscyplinowana plastyka tego artysty zyskuje nawet kontrastowo wobec niezawasze po rzeźbiarsku skoordynowanych prac jego młodszych kolegów w sąsiednich salach. Ostrowski przez swą długoletnią pracę w atmosferze paryskiej sztuki podniósł wydatnie skalę swych plastycznych problemów, wysubtelnił swój smak i wrażliwość na formę, co dotyczy zarówno jego rzeźb z impresjonistycznego okresu (portret żony, *Olga Boznańska*, *Norwid*, *Tad. Miciński*), jak i portretów z porodinowskiej epoki (najlepsze: portret brata artysty i K. Świtalskiego). Te ostatnie prace, żywo sugerujące rysy portretowanych osób, są nam znacznie bliższe jako forma i jako kwalifikacja rzeźbiarskiego materiału, dając równocześnie wystarczające pojęcie o wybrednym gatunku twórczej wyobraźni rzeźbiarza.

KONRAD WINKLER

PION

należy abonować lub nabywać w kioskach i żądać go w czytelnich, cukierniach i restauracjach

ŚWIAT KSIĄŻEK

K. W. ZAWODZIŃSKI: *Blaski i nędze realizmu powieściowego w latach ostatnich*. Odbitka z Przegl. Dspół. Warszawa 1937. Dom Książki Polskiej.

Od czasu zasygnalizowania przez Leona Pomirowskiego „walki o nowy realizm” w literaturze, kierunek ten, wzbogacony szeregiem dalszych pozycji powieściowych, skrytykował swe oblicze, a nawet dojrzał do syntezy, o czym świadczy interesująca praca K. W. Zawodzińskiego.

Autor z zadowoleniem podkreśla wzmagającą się w latach ostatnich tendencję do nadawania powieściom współczesnym ram historycznych. Uważa, że oparcie o konkretny materiał faktyczny stwarza w dziele pełne widzenie rzeczywistości, od którego zależy epickość utworu. Epickość ta, polegająca na bezinteresownej rozkoszy przeżywania opisywanego świata, czyli na jego afirmacji, jest najpierwszym postulatem dobrej powieści. W toku dalszych rozważań autora, z zasadniczego warunku wypływają inne. Są to między innymi: autentyzm w odmalowaniu tła i środowiska, określony czas i teren akcji, ważność tematu, jedność i przejrzystość fabuły, dramatyczny sposób charakterystyki, „niezauważalność” konstrukcji i stylu.

Na podstawie tych kryteriów autor wartościuje kilkanaście cenniejszych pozycji powieściowych z lat ostatnich. W tych krótkich szkicach uderza przemienność i trafność uwag (np. przekonywujące umotywywanie obniżenia się poziomu artystycznego dalszych części *Nocy i Dni* lub interesujące paralele Balzac — Kaden, Undset — Zarembina) — obok pewnych niepokojących rozbieżności, które występują choćby na poniższych przykładach:

Na dwóch krańcach sądu autora znajdują się *Noce i Dnie* Dąbrowskiej (2 pierwsze części) oraz *Granica* Nalkowskiej. Pierwsza powieść, zanalizowana dokładnie w osobnym szkicu, jest dla autora ideałem „czystej epickości” i „bezinteresownego realizmu” — druga natomiast nie spełnia żadnego warunku: temat jej jest blahy, teren i czas akcji nieokreślone, wątki poboczne przesłaniają główny, styl odbiega od niezauważalności przez wyszukaną prostotę, symboliczność szczegółów wreszcie przeczy epickości.

Podobnie surowy sąd wygłasza autor o *Soli ziemi* Wittlina, szeroko natomiast omawia Kunczewiczowej *Cudzoziemki*, w której zachwyca go autentyzm tła i charakterystyka bohaterki w działaniu, nie za pomocą „odtworzenia nurtu świadomości”.

Czym wytłumaczyć, że pozycje tak odrębne zostały zakwalifikowane jednakowo na podstawie tych samych kryteriów? I dlaczego np. autor pomija w *Soli ziemi* ważność tematu i historyczność tła, czynniki, które mogłyby złagodzić nieco jego sąd, natomiast do *Cudzoziemki* nie zraża go interesująca, lecz niewątpliwie sztuczna i polegająca na zauważalnych chwytach konstrukcja?

Przyczyn tych rozbieżności należy szukać głębiej, w ujęciu samego realizmu. Czym jest dla autora realizm, jeśli z jednej strony utożsamia to pojęcie z „prawdą życiową”, z drugiej identyfikuje „bezinteresowny realizm” z „czystą epickością”? Postaram się zanalizować stosunek autora do realizmu na podstawie tych dwóch przykładów.

Już na wstępie Zawodziński, wiedząc, że opinia umieszca go raczej w pobliżu formalistów, usprawiedliwia swoje zainteresowanie dla realizmu poczuciem wzmagającej się aktualności tego kierunku w literaturze, oraz przekonaniem, że dążność do naśladowania natury w sztuce jest odwiecznym ludzkim instynktem. Fakt powyższego usprawiedliwienia świadczy o tym, że realizm nie został pojęty przez autora jako chwyt artystyczny, gdyż jako taki mógłby podlegać analizie czysto formalnej, a naśladowanie natury nie byłoby wtedy sprawą istotną.

Zawodziński jednak, wypowiadając się po stronie naśladowania natury w sztuce, nie tylko nie rezygnuje z artyzmu w powieści, lecz, jak widzieliśmy, stawia przed nią szereg postulatów formalnych, dotyczących struktury, fabuły, charakterystyki, stylu. Sprawiają one jednak wrażenie nieistotnego dodatku wobec podstawowego warunku — *autentyzmu tła*, które autor w każdej niemal powieści analizuje z podziwu godną gruntownością, przeprowadzając szczegółowe analogie ze stanem rzeczywistym. Czymże jest bowiem postulat formalny charakterystyki dramatycznej w *Cudzoziemce*, jeśli dla krytyka najważniejsza jest możliwość wytłumaczenia charakteru Róży pogranicznicą kulturalną polsko-rosyjską? Nawet tendencyjność *Kordiana* i *Chama* autor analizuje przede wszystkim z punktu

widzenia jej stosunku do stanu faktycznego a nie — szkody dla artyzmu.

Autentyzm tła w powieści nie został więc pojęty jako konieczność uzależnienia wizji twórczej pisarza od wypadków historycznych, w obrębie których obraca się akcja utworu (Piwiński nazywa to metaforycznie stosunkiem muzyki do tekstu pieśni), lecz jako „prawdziwość” *działa literackiego w znaczeniu życiowym*. Autor dopuszcza możliwość konfrontacji faktów przetworzonych w powieści z rzeczywistymi na jednej płaszczyźnie, tak jak to czyniono w epoce pozytywizmu.

Jeśli możemy mówić w dziele literackim o wyborze pewnych faktów: roku, epoki, ogólnie znanego wypadku, to tylko albo w sensie informacyjnym, albo jako o czynności przedtwórczej. Proces tworzenia wpłata szczegóły prawdziwe w system okoliczności fikcyjnych i zespala je w całość wyniesioną ponad życie i nie dająca się z nim bezpośrednio porównać. Wartościowanie dzieła literackiego z punktu widzenia jego podobieństwa do rzeczywistości zaciera granicę pomiędzy powieścią realistyczną a nieudolnie imitującą życie literaturą faktu, utożsamia więc jego blaski i... nędze.

Omówię z kolei stosunek autora do realizmu na podstawie drugiego przykładu: zidentyfikowania „bezinteresownego realizmu” i „czystej epickości”. Pojęcia te należą do różnych dziedzin. *Realizm jest to pewien sposób artystycznego obrobienia materiału, epickość — stosunek autora do tematu*. Podkreślana przez Zawodzińskiego bezinteresowność opisu, rozkoszowanie się odtwarzaną rzeczywistością cechują realizm, lecz nie postawę epicką. Bezinteresowna obserwacja łatwo stacza się w kierunku reportażu — czyli notowania faktów bez wyboru lub w kierunku naturalizmu — poddania się prerażliwej wymowie opisywanych przedmiotów. Natomiast charakterystyczna dla postawy epickiej „afirmacja świata”, ma zupełnie inne źródło: spokój i obiektywizm opisu wypływa tutaj z dojrzałości myślowej i opanowania materiału z punktu widzenia określonej postawy duchowej wobec życia. L. Fryde, pisząc o tym w pracy o *Nocach i Dniach* (Droga, 1935), przekonywująco uzasadnia sens elementu dydaktycznego w dziele epickim, Zawodziński natomiast uważa aforyzmy filozoficzne Dąbrowskiej za nieistotny dodatek, utrudniający przeżywanie dzieła. Jest to zrozumiałe wobec powyższego pomieszczenia pojęć: tym też tłumaczy się ocena na jednej płaszczyźnie *Granicy* — powieści realistycznej, i *Nocy i Dni* — dzieła realizmu epickiego, czyli realizmu podniesionego do godności najwyższej sztuki.

Mimo że autor nie wymienia terminu „realizm epicki”, nieświadomie staje w rzędzie jego zwolenników, oceniając obszernie i wnikliwie cykl Dąbrowskiej, oraz walcząc ze zdeformowanymi przejawami indywidualizmu i psychologizmu w powieści współczesnej.

Z tego względu, a także ze względu na użyteczność samego faktu zgrupowania rozbieżnych przejawów naszej powieści wokół jednego kośca — pracę Zawodzińskiego należy uznać za wartościową.

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

JANINA BERGERÓWNA: *Księżna Pani na Kocku i Siemiatyczach* (Działalność gospodarcza i społeczna Anny z Sapiechów Jabłonowskiej). Lwów 1936 r. Tow. Nauk. 440 str., 1 portret, 2 mapki.

Wies polska, która już na długo przed wiekiem XVIII stała się w pewnym stopniu samodzielną jednostką, tak pod względem gospodarczym jak i społecznym, w wieku XVIII wyodrębniła się ostatecznie. Zarysowują się różne coraz bardziej powiądzone miastem i wsią zachodzące rozbieżności, więcej, widzimy duże zmiany w strukturze gospodarczej i w charakterystyce stosunków społecznych pomiędzy jedną wsią a drugą, o ile oczywiście należą one do różnych dziedzin. Ten separatyzm zamkniętych w sobie kompleksów gospodarczych doprowadza do tego, że organizm Rzeczypospolitej w XVIII w. rozpada się na ogromną ilość cząstek, niczym z sobą nie związanych, żyjących własnym życiem. Wobec tej decentralizacji ekonomicznej, panującej w Polsce w dwóch ostatnich wiekach jej samodzielnności, historyk, badający dzieje wewnętrzne, musi zapoznać się przede wszystkim z życiem pojedynczych wsi, pojedynczych kluczy. Tą bowiem jedyną drogą można dokładnie zbadać całokształt życia wewnętrznego Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Bądź przez analogię, bądź przy pomocy analizy całych systemów gospodarczych na jednym, wąskim terytorium, można dojść do pewnych wy-



ników, a przez pomnażanie tych przykładów można pokusić się o zobrazowanie całokształtu gospodarki polskiej w pewnym szerszej czy skromniej ujętym okresie czasu.

W naszej literaturze historycznej istnieją już specjalne monografie, poświęcone dziejom poszczególnych kluczy lub pojedynczych wsi. Są one jednak dotychczas nieliczne i w dodatku większość ich nie odpowiada warunkom typologicznym.

Na pierwsze miejsce z typu prac o stosunkach gospodarczo-społecznych wysuwają się wydawnictwa wiele już dziś zasłużonej szkoły lwowskiej z jej geniuszem pracy i twórcą wielu monografii z tej dziedziny, prof. dr Fr. Bujakiem. Pod kierunkiem tego właśnie uczonego opracowała Janina Bergerówna pierwszorzędą monografię o dziedzicze i jej dobrach kockich i siemiatyckich. Już sam fakt wydania książki, poświęconej takiej kobiecie jak ks. Anna Jabłonna oraz jej gospodarce, wydaje się nam bardzo ważny z dwóch powodów. Przede wszystkim mamy tu do czynienia z niezwyklej postacią tak pod względem charakteru i zainteresowań, jak również z uwagi na poglądy jej na sprawy wewnętrzne kraju, budzące niekiedy podziw.

Urodzona w 1728 r., córka magnackiego rodu, przedystynowana była, jak każda z wysoko urodzonych, do roli zywła odmiennie niż ta, jaką w życiu swym odegrała. Zdobywszy ogromną, jak na owe czasy, wiedzę, stara się zrobić z niej odpowiedni użytek pro domo sua i nie tylko. Żyje w izolacji od swego otoczenia, pracując stale nad sobą i wyniki swych doświadczeń stosując do życia praktycznego. A wyniki, do jakich doszła Księżna Pani w swych badaniach, są imponujące, i to nie tylko na tle epoki XVIII w., ale i dziś w epoce radia i samolotu zdają się wyprzedzać nasze urządzenia i organizację pracy na roli. Żyjąc w czasach, kiedy nauka gospodarstwa miała już swoją literaturę, dziedziczka na Kocku i Siemiatyczach zwraca w swych ustawach baczną uwagę przede wszystkim na racjonalną organizację pracy w swych dobrach.

Pomijając robociznę, która w dobrach Jabłonowskiej nie była zbyt uciążliwa i którą kmiecie przeważnie odrabiali czeladź, lub płacili czynsz, warto zwrócić uwagę na urządzenie życia wiejskiego w dobrach kockich i siemiatyckich. Oto ni mniej ni więcej tylko w każdej wsi, mieszcząc się w dobrach ks. Jabłonowskiej, znajdowała się: kasa publiczna, magazyn publiczny, pasieka wiejska i t. p. Instytucjami użyteczności publicznej były we wsiach księżycy, powszechnie dobro stanowiące: dom miłosierdzia, stajnie wiejskie, dom sądowy, dom dla umarłych, dom na suszenie konopi, porządek ogniowy, placie młodzieżskie. Również na higienę zwracano tu baczną uwagę. Na koszt dworu zaprowadzono w każdej wsi służbę taką jak: strażnicy, strażcy i inni. Chcąc zaś usunąć niepowołane czynniki od pełnienia opieki nad chorymi niewiastami, dbano o to, by w każdej wsi była odpowiednio wykwalifikowana, jakby dziś można powiedzieć akuszerka z patentem, t. zw. białogłowa babcia. Domy były budowane według planu (abrysu) księżnej z pewną wysłą przewodnią, dbającą z jednej strony o

trwałość budynków, z drugiej zaś o estetykę wsi.

Dodać jeszcze należy, że Jabłonna, pracując przez całe swe życie dla dobra ogółu, zawsze samotna i prawie nigdy nie zrozumianna, popada w końcowym okresie swego życia w fatalną ruinę majątkową. Załamanie to zaś i całkowite bankructwo musiało nastąpić nie z powodów złej kalkulacji, lecz ze względów czysto politycznych. Zabrakło za granicą zaufania do złośliwego polskiego, wobec czego musiał nastąpić krach, krach, który złamał jedną z najcenniejszych postaci Polski XVIII w.

TADEUSZ GOŁĘBIEWSKI

FRANÇOIS DE CROISSET: *Syngaleska bajka*. Str. 219. Przekład M. Wańkowiczowej. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1937.

To nie jest powieść, ani również nie popularna książka podróżnicza, mimo że treść jej stanowi migawkę wyprawy na Cejlon, — to coś w rodzaju pamiętnika, pisanego daleko, u siebie. *To jest francuski Arkady Fiedler*. Określając tak, ani nie ujmuje talentu autorowi *Kanady pachnącej żywicą*, ani nie obniżam wartości *Syngaleskiej bajki*. Raczej przeprowadzam równanie.

Croisset jest w „słodkiej Francji” znanym autorem kilku powieści podróżniczych (jedną z nich wydana przez „Rój” — *Pani z Malakki*) i dowcipnych komedii. Rozporządza przedniego gatunku humorem, dużą wiedzą i kulturą literacką, bystrym spojrzeniem i artystyczną duszą.

Tym razem Croisset przybrał pozę zmudzonego samotnika, z trudnością obcujać z ludźmi i godzącego się nawet na 17-dniową wspólną katorgę morską, byle by zobaczyć wymarzony Cejlon i przeżyć „syngaleską bajkę”. Poza — potrzebna, aby — nie poznany jak na balu maskowym — latwiej mógł podpatrzeć bliźnich, zaobserwować ich śmieśne cechy, nawet brzydote — i uśmieć się dyskretnie, kiedy tak trudno o znalezienie bardziej godziwej rozrywki w podróży morzem.

Ale jest to śmiech dyskretny i poza wdzianca, stanowiąca z umiarem dopoty, dopóki nie stanął na progu najbardziej egzotycznego zakątka świata: na Cejlonie. Od tego miejsca kończą się zapiski samotnika, cieszącego się swoją wyższością umysłową nad Amerykanami czy Anglikami, a zaczynają się notatki podróżującego mieszczucha, hodowanego dotychczas na laskawej i troskliwej pozycje cywilizacji.

Syngaleska bajka — otóż to: bajka. Bajka, która — jeśli nie rozgrywa się w naszych oczach — bajką pozostaje. Trudno uwierzyć w obraz nieznaną starą kulturę pokonanej przez dżunglę i trudno uwierzyć w samą dżunglę. Tam na miejscu, gdzie rządzi wroga roślinność, zielony obłęd atakuje śmiółki, drąc kołcami i lianami dusząc, gdzie człowiek traci wrodzoną powagę i staje się śmieśnym w leku nie do opanowania, gdzie wszystko wokół gryzie, kąsa, drapie, morduje, — gdzie człowiek prosto odnajduje w sobie nagle stworzoną duszę pierwotnego dzikusa i doskonale rozumie najożywiściejszą bezbronność i rolę samotnej ofiary, wydanej na pastwę nieznaną — tam „syngaleska bajka” jest codzienną rzeczywistością. Natomiast zamknięta w książce, choćby z lampartem na okładce, pozostaje bajką po którą w daleką podróż autor pojechał, wzywając lek, szukając go i pragnąc.

Nie dziwnego, że przywiózł bajkę, jeśli sam bajkę ujrzał. E. Rostand w jednym z wierszy mówi: „...słońce, bez którego wszystko nie byłoby tym, czym jest”. Croisset przez cały czas pod dyktando takiego słońca żył i takie słońce, światło magnezjowe, przelewał się w jego książce, której każda stronica — to Forystarz łaźni.

Zresztą autor bajkę chciał zobaczyć, gdyż na takie wrażenia przygotował się przed podróżą. Co innego kpt. Hollicott, współtowarzysz włóczęg przez dżunglę (nota bene, doskonale naszkicowany), który lubi rzeczy takie jakie są — człowiek posiadający talent odbierania turystom złudzeń. Gdyby jednak kpt. Hollicott napisał *Syngaleską bajkę*, byłaby nie tym, czym jest: dobrym, dobrze sporządzonym, interesującym i plastycznym filmem, zawartym w książce podróżniczej. Francois de Croisset należy do tych licznych, niebohaterskich, podróżników dla przyjemności, którzy zaczynają się bawić naprawdę z chwilą powrotu do własnego łóżka; lektura tej książki jest zarazem oryginalnym sportem, polegającym na wylapywaniu pysznych dowcipów, kryjących się za każdym zakrętem zdania; poza tym — warto książkę przeczytać dla doskonałego przekładu M. Wańkowiczowej.

GUSTAW MOTYKA

PRZEGLĄD MIESIĘCZNIKÓW

Świetny pisarz francuski Jean Giono, piewca surowej przyrody i twardych ludzi, żyjących we wiecznym z nią przymierzu i walce, przemawia do nas z ostatniego (3) zeszytu *Drogi* krótką nowelą *Fryd z Mausan* (tłumaczoną przez H. Łazowertównę). Bohater tej opowieści, stary Fryd, postać jak gdyby wyciosana kilkoma wielkimi ciosami dłuta w nieobrobionym drzewie, to jedna z najmocniejszych, niezapomnianych kreacji literatury współczesnej. O wiele mniej ciekawe (i mniej udane) są następujące po tym przekłady z v. Hofmannstahla.

O „postawie poetyckiej Hlakowiczówny” pisze w dość impresjonistyczny sposób Stefan Napierski. J. Bleiberg informuje o powstaniu międzynarodowego towarzystwa „Philosophia”; założycielem jego jest znany neokantysta, obecnie prof. uniwersytetu w Belgradzie Arthur Liebert. Ideologią tego stowarzyszenia jest etyczny humanizm, nawiązujący do rygorystycznej etyki kantowskiej.

Krzyżowcy ciągle budzą glosy zachwytu i sprzeciwu. Na początku przeważał zachwyt, obecnie wzrasta sprzeciw, zwłaszcza w stosunku do tendencji ideowych dzieła Szuczki. Takie opozycyjne stanowisko zajmuje m. in. J. M. Świąciecki, który w obszernym artykule o postawie duchowej autorki *Krzyżowców* (*Przeгляд Powszechny*, maj) po szczegółowej analizie dochodzi do wniosku, że jaskrawo pesymizm w przedstawieniu wyprawy krzyżowej stawia katoliczkę tej powieści pod znakiem zapytania. W numerze następnym, zapowiada autor, okaże się „jakie to ukryte pobudki wpłynęły na zajęcie przez autorkę opisanego stanowiska, bo sama tylko tendencja realistyczna nie podobna go wytłumaczyć”. Łączy się z tym artykułem zamieszczone w tymże zeszycie recenzja ks. B. Wójcika z *Króla trędowatego*; pono i ta książka „technie pesymizmem, zwątpieniem”. Szczególnie żywo protestuje ks. Wójcik przeciwko rzucaniu cienia nieślawy na zakon templariuszów, historia bowiem nie daje nam niezbitych dowodów przeciw temu zakonowi.

W tymże numerze *Przeгляdu Powszechnego* znajdujemy dłuższą pracę J. E. Płomińskiego: *Zagadnienie ludu w twórczości Dygasińskiego* oraz szkic okolicznościowy T. Parnickiego *Aleksander Puszkina*. Główną tezę tego szkicu jest „renesansowość” Puszkina, biegunowo różna od romantyzmu Mickiewicza. Puszkina był twórcą wielkiej poezji rosyjskiej, był dla niej tym, czym dla kultury polskiej renesans, i tym (!) tłumaczy się typ i charakter jego twórczości. Teza mało przekonująca i słabo uargumentowana.

Wśród wielu interesujących artykułów, które przynosi majowy zeszyc *Przeгляdu Współczesnego* na pewno najdowcipniejszy jest artykuł W. Borowego omawiający niektóre zagadnienia z dzieł wersyfikacji polskiej (na marginesie wydanej niedawno książeczki K. W. Zawodzińskiego). Idzie tu głównie o kwestię roli akcentu w wierszu staropolskim. Na pozór nie stanowi to dobrego materiału do dowcipów. Ale rozważania swe poprzedza Borowy świetnym persyflazem, w arcydowcipny sposób pokazującym jakie szarlatańskie sztuczki mogą wyczyniać

magicy od tak zdawało by się prozaicznej i ścisłej nauki jak nauka o wierszu. Znamy takich magików...

Dowcip ale... mimowolny udał się też A. Grzymale-Siedleckiemu, który doradza dyrektorom scen warszawskich, aby wobec braku oryginalnego repertuaru (?) wznowiali zapomniane niesłusznie (?) sztuczki Zalewskich, Lubowskich, Przybylskich et consortes... Poza tym zresztą artykuł Siedleckiego, poświęcony w lwiej części omówieniu pierwszych komedii Kazimierza Zalewskiego na tle życia warszawskiego środowiska, w którym powstały, stanowi nader miłą i interesującą lekturę gawędziarską.

Z innych artykułów *Przeгляdu* wymienimy jeszcze krótki szkic T. Kudlińskiego o teatrze Leona Schillera. Kudliński przeciwstawia się entuzjastycznym głosom Tonneckiego, Terleckiego i większości opinii teatralnej, odmawia Schillerowi miana odnowiciela narodowych tradycji, widząc w jego teatrze odbicie modnych prądów europejskich.

O epoce Cervantesa pisze w ostatnim (3) numerze *Wiedzy i życia* Jerzy Borejsza, zajmując się głównie społeczną sytuacją Hiszpanii za rządów Filipa II. W jeszcze dawniejsze czasy przenosi nas W. Borowy, przedstawiając w zwięzłym szkicu początki stosunków kulturalnych polsko-angielskich. Artykuł ten, jeden z dłuższych od dotychczas publikowanego cyklu, przynosi dużo kronikarskich wiadomości; jaka wielka tylko szkoda, że Borowy wśród wielu swoich talentów nie ma zdolności uczuciowo-gawędziarskiego zabarwienia wyłowionych okoliczności przeszłości. Słowem, że ani trochę nie jest — Stanisławem Wasylewskim...

Ósmy numer *Kamieny* (za kwiecień b. r.) i piąty *Okolicy poetów* (z 15 maja b. r.) przynoszą wiele wierszy i tłumaczeń z poezji ukraińskiej, włoskiej, francuskiej (niezłe przekłady J. Superville'a w *Okolicy*). Część majowego numeru *Okolicy* poświęcona jest Tetmajerowi z powodu pięćdziesięciolecia jego twórczości poetyckiej. Składają się na ten hold: wiersz Tytusa Czyżewskiego, szkic apologetyczny K. Czachowskiego i wywiad z sędziwym poetą, przeprowadzony przez T. S. Demczyka.

Nowy (3) numer praskiej *Slavische Rundschau* nie przynosi wielu poloników. Znajdujemy w nim sprawozdanie T. Szydłowskiego z setnej wystawy Tow. „Sztuka” w Krakowie, parę notatek i dość przypadkową bibliografię. Godna uwagi jest recenzja K. Krejczy z *Wstępu do badań nad dziełem literackim* Kridla. Krytyk podziela na ogół tezy pozytywne autora *Wstępu*, trafnie uzupełniając je w niektórych punktach (np. dowodzi, że *Kazania sejmowe* Skargi są dziełem literackim i w tym rozumieniu jakie nadaje temu pojęciu Kridl); zastrzega się natomiast przeciw zbyt, jego zdaniem, radykalnemu odrzuceniu tradycji naukowej (poza filologią), w której nie wszystko się zestarzało. — Z informacji bibliograficznych zasługuje na przedruk wiadomość o krytycznym wydaniu dzieła Macieja Miechowity *Tractatus de duabus Sarmatiis*, w oryginale łacińskim i przekładzie rosyjskim, przez sowiecką Akademię nauk.

Z WARSZAWSKICH WYSTAW

WYSTAWA ZBIOROWA
S. BLONDERA W SALONIE KOTERYBY
(Kredytowa 2/4)

Malarstwo krakowskiego artysty, Saszy Blondera, od dawna zwracało uwagę na dorocznych Salonach I. P. S.-u. Niechętni mówili o nim, że nie jest samodzielny, że podpatruje metody nadrealistów i neoplastyków — w szczególności zaś jeden z odłamów tego kierunku, który reprezentują Torres-Garcia i Campigli w Paryżu. Być może, iż są pewne analogie między tymi ostatnimi a sztuką Blondera, jeśli chodzi o podział obrazu na części dekoratywne. Lecz sama metoda w traktowaniu powierzchni płótna niczego nie dowodzi, a owe etruskie, czy staroegipskie archaizacje wspomnianych malarzy cudzoziemskich nie mają nic wspólnego z materiałem wizualnym krakowskiego artysty. Jego prymitywizacja kształtu nie polega bowiem na ewokowaniu dawnych form — lecz na form tych uproszczeniu i sprowadzeniu ich do zasadniczych elementów. Zresztą w ostatnich swych płótnach Blonder porzuca tę metodę dla nowych poszukiwań w kontakcie z przyrodą. Obrazy jego, przeważnie pejzaże, stają się bardziej czytelne — a sposób kładzenia farby, przypominający fakturę Van Gogha — podnosi strukturę malowidła, jego architektonikę, gdzie akcenty barwne o niemałej sile wyrazu szczęśliwie rozwiązują zasadniczą koncepcję utworu.

WYSTAWA J. TREFLERA
W ZWIĄZKU ZAWOD. POL. ART.
PLASTYKÓW

W lokalu Zw. Zaw. P. Art. Plastyków (Al. Ujazdowskie 37) urządził wystawę zbiorową J. Trefler, który w swych malowidłach olejnych zmierza do stabilizacji formy i koloru i podniesienia emocji barwnej do najwyższego napięcia. Dążenia te



J. Trefler Martwa natura

hamuje u malarza zbyt pociągliwość w wyborze barw kontrastujących i obawa przed dekompozycją barw lokalnych, co w rezultacie zbliża malarstwo Treflera raczej do Holendrów, aniżeli do fowistów, manifestujących, jak wiadomo, zupełną niezależność gamy kolorowej od barw przyrodzonych. Fowisci, wrażliwi na siłę natężenia barwy, są natomiast mniej czuli na łagodne modulacje tonów spokojnych i przytłumionych (Matisse, Bonnard, Van Dongen) — z wyjątkiem tych, którzy podobnie jak Friesz i Vlaminck, ratują się walorem i gdzie partie jasne i ciemne, światła i cienie tworzą dramat wizualny podobnie jak u Holendrów.

Zadanie malarskie, które Trefler podjął, jest dzisiaj bardzo na czasie i stanowi naturalną opozycję przeciw afornii i braku konsystencji postimpresjonistycznych kierunków na naszym gruncie.

KONRAD WINKLER

KSIĄŻKI NADESLANE

U. WALDO CUTLER: *O królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu*. Przekład Fel. Kruszyńskiej. Stron 246. Państw. Wyd. Książek szkolnych. Lwów 1937.

ADAM SZCZERBOWSKI: *Ogród zamknięty*. Stron 94. Poezje. F. Hoiesick. Warszawa 1937.

TADEUSZ ZELENAY: *Jesień sentymentalna*. Poezje. Stron 42. F. Hoiesick. Warszawa 1937.

TERLECKI TYMON: *Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego*. Str. 298. Biblioteka Kroniki Miasta Poznania tom piąty. Poznań 1937.

NAPIERSKI STEFAN: *Liryki francuskie*. Seria druga. Str. 174. Warszawa, 1937. Skład Główny: Tow. Wyd. J. Mortkowicz.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr. 19 (188) *Pionu* umieszczona została na stronie 8 reprodukcja niepodpisanej fotografii, nazwanej na końcu numeru w objaśniającej notatce „od Redakcji”: „Marszałek z chłopczykiem w Sulejówku”.

Informacja powyższa jest nieścisła i błędna, bowiem zdjęcie to, przedstawiające Marszałka z chrześniakiem swoim, a mym symem Przemysławem, dzisiejszym maturzystą Korpusu Kadetów Nr. 2 w Rawiczu, wykonane zostało w sierpniu 1921 roku nie w Sulejówku, a w Belwederze, na jego południowym ganku, prowadzącym z parku do mieszkania Marszałka.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku
Dr Stefan Pomarański
mjr. w s. s.

Z ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

Zakład Narodowy im. Ossolińskich w porozumieniu z Towarzystwem Naukowym i Polskim Towarzystwem Historycznym w osobie prezesa prof. Fr. Bujaka, podjął inicjatywę gromadzenia, ochrony i ewidencji materiałów do historii b. zaboru austriackiego, zwłaszcza w epoce autonomicznej.

Zabór austriacki odegrał doniosłą rolę w życiu Narodu Polskiego, rolę, której wyświetleniem zajmują się od dawna nasza nauka historyczna. Prace Schnür-Peplowskiego, Bronisława Łozińskiego, uczeni prof. Askenazego, Tokarza i innych wyświetliły sporo momentów z dziejów h. Galicji, wiele jednak zagadnień czeka opracowania. Zwłaszcza epoka dnia wczorajszego, era autonomiczna, kiedy puls życia polskiego najsilniej uderzał w Lwowie i w Krakowie, wymaga rozpoczęcia badań naukowych, ponieważ stała się ona już historią.

Era autonomiczna Galicji ma bogate źródła urzędowe, zgromadzone w Archiwum Państwowym we Lwowie, akta te jednak niejednokrotnie nie sięgają za kulisy zdarzeń. Całe dziedziny życia politycznego, gospodarczego, kulturalnego wymagają dotarcia do materiałów prywatnych, do papierów osobistych poszczególnych działaczy, do archiwów stowarzyszeń i organizacji. Nie małe mają również znaczenie materiały źródłowe do historii majątków rolnych i leśnych, oraz przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, ich księgowości i korespondencja.

Wiemy dowodnie, że tego rodzaju papiery i materiały ulegają najłatwiej rozproszeniu i dewastacji. Wiemy, ile bezcennych skarbów przeszłości zmiotła wojna światowa, ile zniszczył przypadek lub brak zrozumienia właścicieli. To samo dotyczy świadectw życia bieżącego, nie ma dla nich prawie zupełnie zrozumienia w społeczeństwie.

Dlatego pragniemy szeroko kołom naszego społeczeństwa zwrócić uwagę na znaczenie rozmaitych papierów, ksiąg, aktów, listów, pamiętników, protokołów posiedzeń zniesionych lub nie istniejących już stowarzyszeń, instytucji itd., bo w tym wszystkim odzwierciedla się żywy nurt publicznego życia. Trzeba przede wszystkim chronić przed zniszczeniem, odtawać do zbiorów publicznych, gdzie znajdą należycie pomieszczenie i zostaną udostępnione w odpowiedni sposób dla badań naukowych.

Wzywamy zatem do składania materiałów, nawet najdrobniejszych, w piśmie i druku, fotografii i portretów, planów i szkiców w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, zaznaczając, że wszelkie wiadomości o wymienionych tu materiałach są także bardzo pożądane.

Bliższych informacji pisemnych lub ustnych udziela Oddział Rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (Lwów, ul. Ossolińskich 2, I. p. tel. 285-37).

ANDRZEJ KS. LUBOMIRSKI

Kurator Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Odpowiedzi Redakcji w sprawach konkursu

Godło „Podpłomyk” (nowele p. t. *Mgła i Sala nr. 18*). — Rękopisy nowel dopuszczonych do konkursu będą do odebrania dopiero po rozstrzygnięciu konkursu.

Godło „L'anima mia che con la morte parla”. — Noweli *Usta i dłoń* nie otrzymaliśmy. Prosimy o duplikat.

Godło „Kmieć”. — Pod tym godłem nadeszła nowela p. t. *Chraść*; pod godłem „Smutek” — nowela p. t. *Piarg*; pod godłem „Szerszeń” — nowela p. t. *Grzechotki na szybie*. Wszystkie trzy nowele były wymienione w wykazie.

Godło „Chcieć to móc”. — Nowela p. t. *Ptak przelotny* jest w redakcji. Była wymieniona w wykazie. Nowel: *Dawniej a dziś* i *Matynka filcowca*, oznaczonych godłem „Sfinks”, nie otrzymaliśmy. Rękopisy nowel będą do odebrania po rozstrzygnięciu konkursu.

Pani W. K., Strzelno. — Termin rozstrzygnięcia konkursu zostanie podany w *Pionie*.

PLON PIERWSZEJ DEKADY

Pierwsze dziesięć dni ciągnięcia czwartej klasy trzydziestego ósmego Loterii Klasowej dały obfity plon w postaci licznych dużych wygranych.

W okresie tym padły dwie wygrane po 75.000 złotych, na numery: 72737 w Przemysłu i 84967 w Łodzi. Właścicielami poszczególnych ówiartek tych losów byli robotnicy, rzemieślnicy, nauczyciele i urzędnicy.

Po 50.000 złotych wygrało ogółem pięć numerów, mianowicie: 103949, 31656, 39291, 24518 i 172413.

Jedna z ówiartek tego ostatniego numeru znajdowała się w posiadaniu p. *Pelagii Stodolnej* z Działdowa.

Spośród sześciu wygranych po 30.000 złotych wymienimy numer 167310, którego jedną ówiarstkę właścicielką jest p. *Władysława Taranówna*, pracownica domowa przy ulicy Sienkiewicza 1 m. 26 w Warszawie.

Ze kapryśna bogini Fortuna obdarza sympatią tych, którzy dochowują jej wiary, dowodzi wypadek następujący:

Pan *Józef Porwoł*, syn rolnika z powiatu rybnickiego na Śląsku Górnym, przybył do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Dziesięć-hektarowe

gospodarstwo nie mogło bowiem żywić licznej rodziny, złożonej z rodziców i dziesięciorga dzieci — pięciu córek i czterech synów.

Przybywszy do stolicy p. Porwoł postąpił sobie bardzo odważnie: oto ze swych szczerpłych środków, tak szczerpłych, że musiał sprzedać ostatnie ubranie, kupił cały los do pierwszej klasy bieżącej Loterii. Z wielkim wysiłkiem zdołał dobrać do czwartej klasy i oto w dziewiątym dniu ciągnięcia na jego los nr. 63475 padła wygrana 10.000 złotych. Czym jest ta suma dla p. Porwoła najlepiej rozumieją ci, którzy tak jak on nie posiadają stałej pracy i żyć muszą z dorywczych zarobków.

Pan Porwoł zamierza z wygranych pieniędzy spłacić swoje roduństwo i objąć gospodarstwo na siebie.

W dniu 31 b. m. odbędzie się losowanie głównej wygranej w wysokości miliona złotych. Przebieg ciągnięcia transmitowany będzie przez radio.

Poza tym w kole pozostały jeszcze wygrane po sto tysięcy, siedemdziesiąt pięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy złotych, oraz wiele innych.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca